Nr. 214. Lwów — Wtorek dnia 17 Września. Rok 1901.

[illegible]

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

[illegible]

Dziś: św. Lamberta B. — Wawyły
Jutro: św. Tomasza z W. — Zacharya

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 5 m. 46
Zachód „ „ 6 m. 2

Długość dnia godzin 12 minut 16
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Sprawa marszałkowska.

Dowiadujemy się, że sprawa marszałkowska, wywołana nieodwołalnem postanowieniem hr. St. Badeniego, jest już w Wiedniu załatwiona w sposób jak najbardziej pomyślny. Skoro nie było już wątpliwości, że przesilenie nie da się zażegnać, wybór bez wahania padł na hr. Andrzeja Potockiego, który jako referent budżetu krajowego, jako prezes krakowskiego Towarzystwa Rolniczego i jako radny miejski krakowski złożył dowody, że każde powierzone sobie stanowisko traktuje bardzo poważnie, z tą sumiennością, która w rzeczach publicznych nic nie lekceważy i która jest pierwszym warunkiem pomyślnego działania. Niedobrze jest, gdy osoby na stanowiskach odpowiedzialnych i bardzo trudnych, a przytem wymagających wielkiej inicyatywy, często się zmieniają; w tym wypadku niedobrze jeszcze dlatego, że hr. St. Badeni trzymał marszałkowską laskę z niezaprzeczonym dla kraju pożytkiem. Ale kiedy tej zmiany nie dało się uniknąć, to dobrze jest to, że laska prędko przejdzie z rąk do rąk i że — jak bardzo słusznie *Czas* się wyraził niedawno — „przejdzie ona z rąk godnych w ręce niemniej godne“.

Po wyborach do Sejmu pojawi się reskrypt cesarski, powołujący hr. Andrzeja Potockiego na urząd marszałka Galicyi. Będzie on na tem stanowisku dziewiątym z kolei, a drugim z rodu Potockich.

Teodor Roosevelt.

Na mocy konstytucyi Stanów Zjednoczonych, wice-prezydent państwa, będący zarazem zawsze prezesem senatu, obejmuje stanowisko prezydenta, jeżeli ten z jakichkolwiek powodów nie mógł wytrwać swego czterolecia w Białym Domu. Mac-Kinley, obrany powtórnie w listopadzie roku przeszłego, rozpoczął swe nowe czterolecie 4 marca r. b.; po nim więc prawie na całe cztery lata staje teraz na czele wielkiej północno-amerykańskiej republiki Teodor Roosevelt.

Człowiek to w pełni sił męskich — zaczął dopiero rok 43-ci — Holender z pochodzenia, wojskowy z zamiłowania, uczony, polityk i bardzo wykształcony literat, namiętny zwolennik republikańskiego obozu, ale taki wróg wszelkich tak zwanych „gründerstw“, że republikanie, szanując go, nie powierzali mu dotąd naczelnych stanowisk, lecz zawsze go obdarzali wice-prezydenturami. Popularnością on się nigdy nie cieszył: ani w szkołach, a skończył najwyższe, ani w życiu, które pełne było przygód; lecz zawsze otaczano go bezwarunkowym szacunkiem. O popularność też nigdy nie dbał. W książce swej, bardzo rozpowszechnionej w Stanach, a noszącej tytuł „Odważne życie“, dowodzi, że między ludźmi trzeba torować sobie drogę łokciami i że tylko ci potrafili coś zrobić dla swego narodu, a dzieje pchnęli na nowe tory, którzy władali silną pięścią. Ją też Roosevelt ma i jej zawsze ufał — jak zapewniają jego biografowie, — ale dodać tu zaraz potrzeba, że między ludźmi o silnej pięści stanowi on ten rzadki wyjątek, że posiada charakter szlachetny i czysty, jak kryształ.

Znawca amerykańskich ludzi i stosunków, p. S. Barszczewski pisze o nim, że już w uniwersytecie „Harward“ okazywał teraźniejszy prezydent Stanów te cechy energii, stanowczości, dumy, chęci postawienia na swojem i przedsiębiorczości, jakie go zawsze potem charakteryzowały, to też wśród kolegów swoich stanowił postać wybitną. Szanowano go, ale zarazem obawiano się, nikomu bowiem z drogi nie ustąpił, sprzeczki nie szukał, ale śmiałka, który go zaczepił, ukarać potrafił dotkliwie. Dbał o swe mięśnie równie troskliwie, jak o postępy w naukach. Zaraz po ukończeniu uniwersytetu rzucił się w wir życia politycznego i już w r. 1882 został obrany posłem do legislatury stanowej. Na urzędzie, który piastował przez trzy lata, dał się poznać jako nieustraszony, bezwzględny apostoł reform w zepsutym do szpiku kości rządzie stanowym. Istotnie kilka bardzo pożytecznych reform przeprowadzić zdołał, pomimo szalonej opozycyi sprzedajnych swych kolegów, pomimo, że się naraził nietylko demokratom, których zawsze był wrogiem stanowczym, ale nawet swemu własnemu stronnictwu republikańskiemu. Nie dziwno też, że gdy w r. 1886 obierano majora (burmistrza) miasta Nowy Jork i gdy osobiści przyjaciele młodego posła oświadczyli, że Roosevelt byłby najlepszym kandydatem na ten urząd, politycy obu stronnictw nie chcieli dać mu nominacyi, przewidując w nim zbyt skrupulatnego naczelnika grodu.

W maju 1889-go r. prezydent Beniamin Harrison, oceniając prace reformatorskie Roosevelta, zamianował go przewodniczącym komisyi egzaminacyjnej dla urzędników państwowych. Na stanowisku tem Roosevelt wykazał energię i działalność zadziwiającą, używając wszelkich wysiłków, by system zasługi został zaprowadzony we wszystkich departamentach rządu, na miejsce rozpanoszonego niesłychanie systemu protekcyjnego. Siedm lat przetrwał niezmordowany polityk na tym urzędzie ważnym i byłby przetrwał dłużej, gdyby nie zajęcie, jakie budziły w nim zawsze interesy miasta rodzinnego. Nowy York, będący dotychczas jeszcze w rękach potężnej, demokratycznej organizacyi, znanej pod nazwą Tammany Hall, cieszył się w owym czasie smutną opinią najniemoralniejszego miasta Unii. Przekupstwo, złodziejstwo, tolerowanie szulerni, domów rozpusty i wstrętnych jam szynkownych grasowało tam chronicznie. Wreszcie gronu obywateli nowojorskich udało się w roku 1896-ym dopiąć tego, że został utworzony urząd honorowy przewodniczącego wydziału policyjnego miejskiego, mający stanowić niejako kontrolę całej policyi. Na urząd ten zaproszono Roosevelta. Pragnąc przysłużyć się miastu rodzinnemu, odważny Nowoyorczyk zrezygnował z urzędu w Waszyngtonie i przyjął ofiarowaną posadę. Dziwów energii, odwagi i bezwzględności dokonał na niej. Osobiście zwiedzał najniebezpieczniejsze nory rozbójnicze, zamykał szulernie i szynki opiumowe, wydalał bez litości przedajnych policyantów, nocami sam chadzał po najodleglejszych ulicach miasta, by przekonać się, czy policya wypełnia swe obowiązki. Doprowadził w ten sposób miasto do porządku, ale w r. 1897-ym musiał opuścić Nowy York, wezwany przez prezydenta Mac Kinleya na zastępcę sekretarza marynarki.

W niespełna rok później wybucha wojna hiszpańsko-amerykańska. Roosevelt znał dzielność, odwagę i wytrwałość stepowych pastuchów bydła (cowboys); postanowił przeto utworzyć z nich pułk jazdy nieregularnej, coś na kształt kozaków, na usługi swemu krajowi przeciwko Hiszpanom. Wydał odezwę do pastuchów i w półtora miesiąca miał już gotowy pułk „dzikich jeźdźców“ (rough riders), taką bowiem nazwę nadano tej watadze. Ale nie on stanął na jej czele. Prezydent Mac Kinley zamianował pułkownikiem przyjaciela swego i protegowanego lekarza Leonarda Wooda. Rooseveltowi zaś dał tylko stopień podpułkownika. Od chwili wylądowania na wybrzeżach Kuby, do ukończenia wojny pułk dzikich jeźdźców grał rolę wybitną we wszystkich potyczkach, podjazdach i pracach obozowych. Zwłaszcza odznaczył się dnia 1 lipca 1898 roku, gdy pod osobistem dowództwem swego podpułkownika wziął udział w ataku na wzgórze San Juan, główną pozycyę hiszpańską pod Santiago. Nietyle atoli męstwo Roosevelta, ile odwaga jego w innym kierunku utkwiła w pamięci ogółu. On to bowiem, widząc opłakane stosunki w obozach amerykańskich na Kubie, nieporządki i nadużycia w intendenturze, narażenie żołnierzy na zdziesiątkowanie przez choroby i niewygody, odważył się, pomijając głównego wodza armii amerykańskiej, jenerała Shaftera, wysłać wprost do Waszyngtonu memorandum, opisujące prawdziwy stan rzeczy na Kubie. Krok ten wywołał oburzenie w sferach wojskowych, ale zjednał Rooseveltowi olbrzymie uznanie. Po wzięciu Santiago, Roosevelt skończył swą karyerę wojskową ze stopniem pułkownika armii ochotniczej, a w niespełna dwa miesiące później otrzymał od nowoyorskich republikanów nominacyę na gubernatora stanu Nowy York.

Dążenie do reform i przeprowadzenie ich siłą niezłomnej woli charakteryzowało Roosevelta i na tem stanowisku, a zarazem zwróciło nań uwagę republikanów całego kraju. Więc podczas powtórnego wyboru Mac Kinleya prezydentem, jemu oddano godność wice-prezydenta.

San Girolamo. — Kompromis.

Piszą nam z Wiednia 15 września:

Wyrok, wydany wczoraj przez rzymski sąd pierwszej instancyi, zapowiada dylatoryczne traktowanie tej sprawy. Trybunał rzymski wychodzi z założenia, że komisarz rządowy Susca de jure zawiaduje zakładem św. Hieronima, a rektora ks. Pazmana wzywa, aby udowodnił swe prawa. Oczywiście proces cywilny, oparty na takiej podstawie, może trwać bardzo długo. Tymczasem alumnat chorwacki, który miał rozpocząć swe funkcye 1 września, zostaje odroczony.

Z dzienników tutejszych żaden nie zaopatrzył dziś depeszy rzymskiej o wyroku w komentarz. Jedynie *Vaterland* z ubocza dopieka hr. Gołuchowskiemu i hr. Starzeńskiemu (radzcy ambasady u Watykanu) a to pod pretekstem trochę nieostrożnej nibyto rzymskiej depeszy *Gazety Lwowskiej*. Odpowiedzieć można *Vaterlandowi* pytaniem, co właściwie w tej sprawie zrobił ambasador austryacko-węgierski u Stolicy Apostolskiej hr. Revertera, którego nigdy nie ma w Rzymie, ilekroć tam obecność jego byłaby bardzo potrzebną, a nawet niezbędną?

Hr. Gołuchowski sam nie może naprawiać wszystkich błędów osób i stronnictw austryackich. I tak dziś półurzędowy *Fremdenblatt* widzi się zmuszonym skonstatować, że, według urzędowych informacyi z Zagrzebia (nadesłanych przez bana), na znanem zebraniu radykalnego stronnictwa chorwackiego żaden z mówców nie obraził króla włoskiego, jak to twierdziła prasa włoska. W każdym razie jednak na tem zebraniu, które się potem powtórzyło na kilku miejscach w Chorwacyi, radykaliści chorwaccy wystąpili z takiemi żądaniami, który prasie włoskiej dostarczył po części pożądanego pretekstu do rekryminacyi, co z natury rzeczy ogromnie utrudnia zadanie rządu austryacko-węgierskiego w tej kwestyi zakładu św. Hieronima.

Zamiast przytyków dla hr. Gołuchowskiego, *Vaterland* i niektóre inne organa powinnyby raczej starać się o to, aby wytworzyć w tej kwestyi pewną ugodę pomiędzy Włochami (austryackimi) a Chorwatami, aby pozyskać dla swoich poglądów rząd węgierski, który widocznie przeszkadza wszelkim „energicznym“ wystąpieniom [illegible] konieczne warunki stanowczej akcyi dyplomatycznej Austro-Węgier. Składać odpowiedzialność za paraliżującą monarchię niezgodę wewnętrzną wyłącznie na ministra spraw zagranicznych, to jest metoda wprawdzie bardzo wygodna, ale niesprawiedliwa! — —

Szanse kompromisu w kuryi w. posiadłości Czech stoją dosyć dobrze. Stronnictwo wiernokonstytucyjne pono domaga się 4 mandatów z 16 mandatów pierwszej sekcyi — majoratów, — która dotąd w drodze kompromisu do Izby poselskiej wybiera 1-go posła wiernokonstytucyjnego, tudzież 21 mandatów z 54-ech drugiej sekcyi, a więc razem 25-ciu. O liczbę mandatów nie powinien się rozbić kompromis. Świeżo przemówił za nim bardzo rozsądnie głos konserwatywny w czeskim dzienniku *Budziwój*, a także zbliżona do konserwatystów z Czech tutejsza *Reichswehr* oświadcza się dziś za kompromisem, jak niedawno *Fremdenblatt*.

Korespondencye.

Paryż, 10 września.

Żyjemy pod znakiem wizyty carskiej. O niej tylko dzienniki piszą, o niej tylko wszędzie się tu mówi. Dużo kłopotu ma z tą wizytą rząd, który musi dbać o to, żeby carowi nie zdarzyło się na ziemi francuskiej nic takiego, co się zdarzyło jego dziadkowi, Aleksandrowi II, do którego strzelał Berezowski. Ma więc być dla bezpieczeństwa osoby carskiej zmobilizowaną cała armia tajnych ajentów francuskich, nadto sprowadza rząd także najzdolniejszych ajentów z zagranicy; wszyscy ci stróże opiekuńczy będą wciąż czuwali nad carem, jechali z nim w jednym pociągu i otaczali go pierścieniem podczas jego publicznych występów przed francuskim narodem. Złośliwi i niezłośliwi utrzymują, że najbliższy tłum, który będzie cara otaczał i na jego cześć wznosił wiwaty, będzie się składał z samych przebranych ajentów policyjnych, właściwa zaś publiczność będzie usunięta na plan dalszy.

Drugi kłopot miał rząd z merem miasta Reims, starej stolicy koronacyjnej królów francuskich, którą car zwiedzi podczas podróży. Merem Reimsu jest Charles Arnould, jeden z wodzów socyalistycznych. Obawiano się, żeby on w mowie, którą jako mer wygłosi na powitanie cara, nie powiedział czegoś, coby mogło niemile dotknąć cesarza Rosyi i zbyt jaskrawo przypomnieć mu, że stoi na ziemi socyalistycznej republiki. Jednakże p. Arnould, który jest milionowym kupcem wina szampańskiego, uspokoił obawy rządu zapewnieniem, że jest wprawdzie socyalistą, ale równocześnie przyjacielem Rosyi i że mowa jego spodoba się carowi. Rzeczywiście postarał się on o wspaniałe udekorowanie ratusza i bramy tryumfalnej. Nie ma nic dziwnego w postępowaniu tego mera, gdyż wszakże socyalizm i despotyzm mają ze sobą wiele punktów stycznych.

Program uroczystego powitania cara jest już całkowicie ułożony. Najpierw 18 września o godz. 7mej prezydent Loubet siądzie na yacht „Casini“, w towarzystwie prezydentów izby i senatu, ministrów, oficerów wyższych i członków gabinetu cywilnego, poselstwa rosyjskiego i wielu innych osób, wypłynie daleko na morze, tam powita władzcę Rosyi i odtąd popłynie z nim razem. W pobliżu Dunkierki wypłyną na ich spotkanie dwa okręty wojenne francuskie „Dupuy de Lôme“ i „Durandale“, lecz one na widok eskadry rosyjskiej natychmiast znowu znikną z horyzontu. Taki będzie początek parady morskiej, bo owe dwa okręty będą pełniły służbę wywiadowczą floty francuskiej, stojącej w Dunkierce. Wrócą one całą siłą pary do portu i zawiadomią admirała o pojawieniu się eskadry rosyjskiej. Natychmiast eskadra francuska uformuje się dywizyami, i z admiralskimi okrętami „Massena“, „Charles Martel“, „Brnix“ i „Bovine“ na czele, wypłyną na spotkanie carstwa. Wreszcie spotkają się na morzu dwie te świetne eskadry; z „Masseny“ zagrzmi salwa powitalna 21 strzałów armatnich. W chwili, gdy yacht carski przypłynie pod główny okręt admiralski „Massenę“, załoga francuska wzniesie siedmiokrotny okrzyk „hurra“, straż honorowa zaprezentuje broń, a orkiestra zagra hymn rosyjski. Car i carowa przesiądą na pokład „Masseny“, na którego maszcie pojawi się flaga rosyjska. Admirał eskadry Menard i jeneralny sztab jego powitają władzcę Rosyi i jego małżonkę, a przy opuszczeniu przez nich statku, odprowadzą ich aż do ostatniego stopnia wysłanych czerwonym dywanem schodów okrętowych; z dział „Masseny“ zagrzmi znowu 21 strzałów.

Na godz. 12tą naznaczono wylądowanie na brzeg Dunkierki przed gmachem izby handlowej. Tu nastąpi przedstawienie carstwu radnych miasta i departamentu. Potem odbędzie się śniadanie, a o godz. 2giej odjadą do Compiègne. Tam na dworcu odbędzie się przyjęcie o godz. 4tej, a potem na zamku obiad w ścisłem gronie. Nazajutrz — odjazd na manewry, w południe śniadanie w fortecy Vitry-le-Reims, potem zwiedzenie Reimsu i powrót do Compiègne. Dnia 20 września obiad u prezydenta rzeczypospolitej, a wieczorem przedstawienie galowe w zamku, urozmaicone iluminacyą elektryczną w parku. Następnego dnia parada wojskowa, a w południe znowu śniadanie, urządzone przez prezydenta rzeczypospolitej na polu wyścigowem w pobliżu Reims.

Tyle wiadomo o dotychczasowym programie. A wielki przytem będzie przepych, wiele okazałości, wykwintu. Dla śniadań i bankietów, które zaofiarowane będą monarsze rosyjskiemu w Dunkierce, Reims i Compiègne, zamówiono u najwybitniejszych malarzy francuskich trzy menu. Menu dla Dunkierki przedstawia dwie postacie kobiece: Rosyę i Francyę, udrapowane flagami narodowemi, unoszące się w aureoli światła nad manewrującą eskadrą. Menu dla Reimsu przedstawia dwie figury: „Pokój“ i „Marsa“, będące symbolem „Siły“. Na horyzoncie widać równinę Botaigny i katedrę w Reims. W górze obrazu, w cieniu sztandarów obu narodów, umieszcza malarz dwóch chłopców, wyciągających do siebie wzajemnie ręce, jednego w rosyjskiej czapce barankowej, drugiego w kołpaku frygijskim. Środek rysunku zajmują herby Rosyi i Francyi. Trzecie wreszcie menu, przeznaczone dla bankietu w Compiègne, przedstawia widok zamku w Compiègne z ornamentacyą w stylu „Empire“ i herbami Rosyi.

Figaro, a za nim i inne większe dzienniki paryskie wynajmują, każdy specyalnie dla czytelników swoich, pragnących widzieć przegląd morski, okręty, przyczem ceny za kajuty wahają się między 100 do 180 franków za dobę wraz z utrzymaniem. Towarzystwo wagonów sypialnych organizuje szereg pociągów luksusowych, z pościelą i bufetami, które dowozić będą mnóstwo widzów do Dunkierki. Nie zapomniano także i o tych, którzy nie będą mieli sposobności widzieć naocznie tych wszystkich parad. Oto bowiem Towarzystwo fotograficzne w Dunkierce ogłosiło konkurs za najlepsze zdjęcie scen z przeglądu floty i pobytu carstwa, wyznaczyło liczne medale i nagrody. W ten sposób pobyt cara może być spopularyzowany w całej Francyi. Braknje jeszcze chyba tylko konkursu na fonografy i kinematografy, aby pamięć pobytu północnego monarchy w republikańskiej Francyi utrwalić w historyi po wieczne czasy.

Wybór Bojki we Lwowie.

Gazeta Narodowa podała następujący wyborny artykuł: Wybór siermiężnego chłopa posłem ze stolicy kraju jest faktem nowym i tak interesującym, że warto poświęcić mu dokładniejszą uwagę, zwłaszcza, iż opinie o tem wydarzeniu są bardzo rozmaite i ze sobą sprzeczne. Jedni widzą w tym wyborze tylko stronę ujemną, inni sławią ten czyn wyborców lwowskich pod niebiosa. My, jak to już zaznaczyliśmy, zajmujemy stanowisko pośrednie.

Kto zna psychologię wyborców lwowskich, tego to nie dziwi wcale, że kandydatura Bojki, postawiona już po wyniku wyborów z kuryi gmin wiejskich, zyskała we Lwowie wielu zagorzałych zwolenników. Mieszkańcy m. Lwowa odznaczali się zawsze pewną ekscentrycznością przy wyborze swych reprezentantów. Przypominamy wybór swego czasu starego generała

---

64)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

— „Chcę ogłosić w Warszawie niepodległość waszą“ — mówiła starszyzna na radzie u pana Małachowskiego.

— „Chcę nanowo wrócić istność polityczną waszemu narodowi“ — powtarzano w domu generała Wojczyńskiego.

— „Czekam, abyście mnie przekonali o męstwie i odwadze waszej!“ — huczała młodzież, trzaskając szablami.

— „Niech widzę skutki waszego zapału, na słowach i oświadczeniach nie przestaję!“ — wołało mieszczaństwo, sposobiąc się do zamienienia łokcia na szponton, a garnca na żołnierską manierkę.

— „Los wasz jest dzisiaj w waszym ręku!“ wykrzykiwano po cechach a gospodach.

— „Zobaczę... czy jesteście godni być narodem!“ — szumiał złowrogo głos rozwagi, głos zastanowienia, głos trwogi o tak zwodnicze, niepewne, mgliste jutro.

Nie czas było na zastanowienia. Iskry padły w lud. Lud ruszył z miejsca, ruszył zapamiętały, szalony. Lud, który miażdży, który nie zna hamulca, który w zanadrzu nosi świadectwa na zdrajców i sprzedawczyków.

Lud, to potęga, siła niezmierzona choć ukryta. Poruszyć ją z miejsca trudno. Czasem wystarczy frazes, skinienie, wyraz, a czasem ani przełożenia, ani najwymowniejsze wezwania nie pomogą. Milczy i drzemie. Lecz, gdy się raz targnie z miejsca, to już idzie na oślep, idzie przed siebie, idzie do zapamiętania, choćby go czekała zguba pewna, choćby miał się stoczyć w przepaść, choćby miał zmarnieć, zczeznąć. Nie masz tamy dlań w pochodzie. Zdepcze tych, którzyby chcieli go zawrócić z drogi.

Hańba tym, co lud budzą daremno. Hańba tym, co, zbudziwszy go, nie umieją poprowadzić lub prowadzą na manowce.

Za Muratem i Davoustem nadjechał z Poznania, jak wicher, imć pan Józef Wybicki z sekretnymi rozkazami samego cesarza i wespół z księciem Bergu jął rząd nowy ustanawiać — nie podobało się to wielce panom a magnatom polskim, którzy już poważne sobie czynili nadzieje na otworzyć się mające stanowiska i szemrali po cichu. Były poseł sejmu czteroletniego, a komisarz legionów włoskich niewiele na to zwracał uwagi i zabrał się szybko do organizacyi.

Gubernatorem miasta nominowano generała Gouviona, prezesem administracyi Michała Kochanowskiego, prezydentem grafa Moszyńskiego, a prezesem trybunału grafa Ossolińskiego. Zaczem jęto debatować nad utworzeniem siły zbrojnej. A był to szkopuł nie lada. Bo choć generał Henryk Dąbrowski w Wielkopolsce działał z właściwym sobie impetem a energią, choć cztery pułki pierwsze niemal z pod ziemi wydobył, a już pod dowództwo Niemojewskiego, Downarowicza, Fiszera i Wasilewskiego oddał — jednak tego było nie dość ani dla Bonapartego, ani dla potrzeb samoistnie działać znów mającego kraju.

Materyał wojskowy był obfity, lecz brakło mężów, którzyby zeń żołnierza wyrobić umieli i chcieli. Bonaparte zwrócił oczy na księcia Józefa i w myśl tych widoków cesarza, Wybicki zaraz po przyjeździe do Warszawy udał się z rana samego do Poniatowskiego.

Książę Józef po nocy bezsennie spędzonej spoczywał jeszcze. Służba Wybickiego nie chciała wpuścić. Lecz ten natarł na nią tak żywo, tak zapalczywie, submitując się imieniem Napoleona, że w końcu zbudzono księcia i Wybickiego do sypialni wprowadzono.

Poseł cesarski jął od razu przedstawienia swoje czynić, a księcia namawiać, by, porzuciwszy gnuśną bezczynność, na służbę francuską się deklarował i stanął na czele formować się mających polskich oddziałów. Poniatowski głuchem milczeniem przyjął pierwsze słowa Wybickiego. Lecz ten zbić się lada czem ani zniechęcić nie dał. Poniatowskiego znał i z dawnych jeszcze czasów wiedział, jak potężny duch, a jak wielkie serce w nim bije. Nastawał dalej, wystawiając mu potęgę Napoleońską, która z wyciągniętemi rękoma się jawi i wzywa teraz synów tej ziemi, by po złamaniu pierwszych zapór w szeregach stawali, wspominał o ostatnim Stanisławie, napomykając, że, jeżeli ten słaby monarcha, nieudolny władzca, choć sztuki lubownik, był plamą rodu, to on, książę Józef, dumą powinien by się jego stać i zmazać wszystkie grzechy, winy czy słabości mizernego stryja.— Ostatnie słowa podziałały.

Książę Józef szarpnął się niecierpliwie, na twarzy gorące mu wytrysły rumieńce.

— Mości Wybicki — rzekł wyniośle. — Czy nie za głęboko waść sięgasz!...

— Nie ma dość silnych, dość drażliwych argumentów, których w tej chwili użyć bym się nie ośmielił!...

— Czegóż więc cesarz odemnie żąda?!... Małoż mu generałów, małoż wodzów znakomitych i marszałków?!...

— Mości książę — odrzekł z mocą Wybicki. — Generałowie a marszałkowie francuscy są dla Francuzów. Nasze wojsko musi mieć własnych dowódców i to dowódców, którzy byliby krwią i ciałem zrośli z nimi. Nadto cesarz Napoleon ufa Waszej książęcej Mości, ma w wielkiem zachowaniu jego wysokie talenty wojskowe...

— Cieszę się bardzo, że cesarz raczył tak dobre mniemanie mieć o mnie, lecz zaszczyty jego mnie nie kuszą... Nie, mości Wybicki, zapomnijcie o mnie, zostawcie w spokoju. Dąbrowski, wreszcie pan Zajączek wystarczą — do takiego hazardu ręki przykładać nie chcę!...

— Hazardu?! Chyba w obecnej chwili ryzykować będziemy mniej niż kiedykolwiek...

— Mości Wybicki! Nie wiem, jak mnie waszmość sądzisz, lecz i ja mam niektóre moje przekonania i dowody nawet... Czy wiadomo waszmości, że... marszałek dworu, Duroc, jeździł do króla Fryderyka do Osterode?!...

— Tak jest, mości książę!...

— A wiadomo waszmości... po co Duroc jeździł?... Wszak były to propozycye zawarcia pokoju! Propozycye, w których o nas słowa jednego nie było!...

— Prawda, lecz były to zarazem propozycye, które nigdy przez Fryderyka przyjętemi być nie mogły, bo niemal zapowiadały zupełny upadek jego monarchii!... Wasza książęca mość, był to manewr polityki dla ukrycia ruchów wojska, dla zamaskowania istotnych zamiarów. Jego cesarska mość, Bogiem się klnę, najlepsze względem nas żywi zamiary... chciałby jednakże przekonać się i widzieć, że...

— Że godni jesteśmy być narodem! — dokończył ironicznie książę. — On, szczęśliwy zdobywca, przychodzi do nas, po dwunastu wiekach historyi i chce nam dyplom podpisać na prawo uważania się za naród! Mości Wybicki! Przeszłość ciężka waćpana, jego poświęcenie, jego miłość dla kraju, są mi zbyt dobrze znane, abym je stawiał w wątpliwość, lecz ty i tysiące innych jesteście w wielkim, w strasznym błędzie!... Kilka pustych słów oszołomiło was!

— Nie i sto razy nie!... To co się dziś dzieje — to praca legionów, to owoc dziesięcioletnich zabiegów, to żniwo po krwawej siejbie na italskiej ziemi! Bonaparte spłaca dług zaciągnięty...

— Bo potrzebuje świeżego żołnierza...

— Nie dla siebie, lecz dla ziemi, której nadać chce swobody!...

— Gdzież więc jest to wojsko, gdzież te regimenty?...

— Mości książę, toć legia wraca z Italii. Mam wiadomości, że w korpusie Hieronima Bonapartego są już ułani!... Młodzież wreszcie z całego kraju przybywa!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

z r. 1863 hr. Artura Gołuchowskiego, przypominamy wybór Kornela Ujejskiego, który był równie dobrym poetą, jak złym politykiem, zwracamy wreszcie uwagę na to, że niemal z reguły wybiera się równocześnie we Lwowie ludzi o dyametralnie różnych przekonaniach politycznych, jak np. przed laty Smolkę i Lewakowskiego, a obecnie Piętaka i Rutowskiego.

Nas tedy wybór Bojki nie zadziwił, lecz zdziwił on zapewne i to niepomiernie chłopów w powiecie dąbrowskim, sąsiadów Bojki. *Nemo propheta in patria*, to też i Bojko mniej jest popularnym między chłopami w Dąbrowskiem, niż we Lwowie, a nawet zapewne niż w Poznaniu lub Warszawie. Przy sejmowym wyborze z gmin wiejskich w Dąbrowie upadł Bojko, mimo, że nie było przeciw niemu walki ani ze strony rządu, ani komitetu centralnego, a podobnie przy ostatnich wyborach do Rady państwa przy braku wszelkiej kontragitacyi utrzymał się z trudnością i małą tylko większością przeciw kandydaturze weterynarza Sikorskiego, popieranego przez „Związek chłopski“. Natomiast w stolicy kraju wybrano go znaczną większością i to z wielkim entuzyazmem.

Czem to wytłómaczyć? Sądzimy, iż tem, że w Dąbrowskiem nie umiano ocenić Bojki, jak na to zasługuje i zbyt gorąco za złe mu wzięto jego ujemne strony — we Lwowie zaś przeceniono go nieposполicie. W Dąbrowie zapomniano, że Bojko był jednym z tych niewielu włościan w sejmie, którzy zwrócili na siebie uwagę niezwykłą swą inteligencyą i szczerym patryotyzmem — we Lwowie natomiast zrobiono z niego rodzaj niedoścignionego ideału reprezentanta najszczytniejszych idei.

Zwolenników wyboru Bojki we Lwowie musimy podzielić na dwie kategorye: na szczerych i fałszywych entuzyastów. Do drugiej kategoryi zaliczamy tych, którzy agitowali za Bojką tylko „na złość“ konserwatystom lub dla tego, aby udekorować tym wyborem podupadającą partyę t. zw. ludowców. Tu prym wodzi przedewszystkiem redakcya *Kuryera Lwowskiego*. Jak się czyta w *Kuryerze*, że wybór Bojki to „tryumf światła nad ciemnościami, to jutrzenka zbawienia, to wzniosłe *sursum corda* dźwięczące jak kosy racławickie i chwała Kościuszki“ itd. — to możnaby myśleć, że to w gorączce pisane, gdyby się nie wiedziało, że to gorączka udana i że idzie tu o wyzyskanie patryotycznych porywów dla całkiem innych celów. Niech nam wybaczą panowie redaktorowie *Kuryera Lwowskiego*, wśród których prym wodzą Rusin i żyd, ale w te objawy ekstatycznego narodowo-polskiego ich patryotyzmu trudno nam wierzyć, skoro na każdym kroku popierają w miastach internacyonalny socyalizm a we wschodniej części kraju wszystkich najzaciekłejszych wrogów narodowości polskiej, radykałów ruskich.

Tym nieszczerym admiratorom Bojki odpowiemy, że nie mają powodu tak bardzo się radować. „Na złość“ byłoby się niezawodnie stało konserwatywnym Polakom, gdyby we Lwowie wybrano np. p. Wysloucha, lecz wybór Bojki nikogo tak dalece nie gniewa. Wiemy bardzo dobrze, że Bojko jest sto razy lepszym, jak panowie szefowie partyi, do której należy. Jest on przedewszystkiem dobrym Polakiem, czem przewódzcy ludowców wcale się nie odznaczają. Dość przypomnieć, że Bojko uczuwał zawsze potrzebę zbliżenia się do Koła polskiego w Wiedniu, a nawet stanowczo oświadczał się za wstąpieniem do Koła, a tylko dlatego tego nie zrobił, że kierownicy stronnictwa, z którem zerwać się nie zdecydował, sprzeciwili się temu.

Lecz za Bojką agitowali także i głosowali entuzyaści szczerzy, a wielu w naiwności swej prawdziwie miało to uczucie, iż spełniają przez to akt bohaterstwa, jakim dzieje narodu polskiego może od czasu Racławic nie mogły by się pochlubić. Uczucia tych, którzy z przekonania byli zwolennikami tej kandydatury, szanujemy, a choć ich nie podzielamy, nie widzimy w nich nic zdrożnego.

Czem ten zapał, który ogarnął znaczną część ludności Lwowa wytłumaczyć? Przedewszystkiem przyczyniła się do wytworzenia go ta okoliczność, że istotnie w liście wybranych z kuryi gmin wiejskich niestety zbyt mało spotykamy włościan — szczególnie na zachodzie. Ożywiony ruch ludowy, pewien postęp w uświadomieniu narodowem i politycznem włościan polskich powinienby był więcej siermiężnych posłów wprowadzić do sejmu. W wielu powiatach nie było z początku żadnej silniejszej kandydatury lokalnej, którąby wyborowi chłopa stała na zawadzie. Można było uważać za rzecz bardzo prawdopodobną, że powiaty np. Grybów, Wieliczka, Kolbuszowa, Ropczyce, Pilzno wybiorą posłów włościańskich. Kandydatura poważnego włościanina nie byłaby natrafiła w żadnym z tych powiatów na opór ani komitetu centralnego a tem mniej rządu. Niestety chłopi w tych i w wielu innych powiatach pokłócili się między sobą, podzielili na stronnictwa, unieśli się ambicyami lokalnemi i nie mogli się zgodzić na jednolitą kandydaturę chłopską.

Tego wyborcy lwowscy, czerpiący informacye polityczne często z mętnych źródeł, nie wiedzieli i przypisali brak włościan w nowym sejmie prześladowaniu ze strony centralnego komitetu. Natomiast przyznać im należy słuszność, jeżeli żałowali, że na całą zachodnią część kraju, znani już z dawniejszych kadencyj Kramarczyk, Szwed i Potoczek, oraz niestety zarówno fizycznie, jak i moralnie paskudny Krempa a do nich, jako jedyny nowy nabytek podpity Szajer, to trochę za mało.

Do wytworzenia się zapału dla kandydatury Bojki, przyczynił się obok owego ogólnego uczucia, że zbyt mało oświeconych włościan wybrano, i pewien osobisty urok wybranego posła. Bojko istotnie, pominąwszy niektóre niefortunne wystąpienia, umiał w sposób sympatyczny przedstawić się szerszej publiczności. Może i miła dla ucha brzmiące, choć ruskie nazwisko jego, przyczynia się nieco do jego popularności. Nie ubliżając jego admiratorom, sądzimy, że zmniejszyłby to jego urok, gdyby się nazywał tak, jak niektórzy inni upadli kandydaci włościańscy, np. Szczur lub Wrona. Na entuzyazm szerszych warstw publiczności wpływają niezawodnie tego rodzaju drobne okoliczności.

Być może zresztą, że publiczność chciała znaleźć idealny typ polskiego chłopa-polityka, wybrała tedy Bojkę w braku innego i dała mu niejako symboliczne znaczenie. Wyborcy ci wszakże mylą się, jeżeli Bojkę uważają za jakiś wspaniały, niedościgniony ideał. Sądzić to mogą chyba tylko ci, nie wychodzący po za rogatki miasta mieszczuchy, którzy polskiego chłopa znają tylko z obrazków. O chłopie polskim mają oni widocznie bardzo mylne i niesłusznie wielce ujemne wyobrażenie. Chłopów, którzy niemniej warci są, jak Bojko, jest po naszych polskich wsiach dzięki Bogu, na setki, jeśli nie na tysiące. Dorównują oni Bojce szczerze polskim patryotyzmem, znajomością dziejów Polski, a także inteligencyą i krewkością usposobienia. Jeżeli mniej może przeczytali książek, aniżeli Bojko, to o tyle bardziej przewyższają go tą, czego jemu właśnie nie dostaje, a co ważniejsze, praktycznością sądu, prawdziwie „chłopskim“ rozumem.

Ostatnim wreszcie i to najszlachetniejszym motywem, który spowodował popularność Bojki we Lwowie, jest szczere, niekłamane przywiązanie do ludu wiejskiego — przekonanie, że u nas właśnie „włościanin“ jest najważniejszą podwaliną społeczeństwa. Słuszna ta i szlachetna myśl objawiła się wszakże w sposób nieco teatralny. Niestety jednak odpowiada to naszej polskiej naturze. Wolimy błyszczącą dekoracyę od budynku, opartego na trwałych podwalinach, choć pozbawionego zewnętrznych błyskotek. Wolimy hałaśliwą demonstracyę na cześć jednego chłopa, niż powolną i mozolną pracę około materyalnego i moralnego podniesienia włościaństwa wogóle. Obawiamy się, że niektórzy z tych panów ze sfer miejskich, którzy na 24 godzin rozentuzyazmowali się kandydaturą Bojki, zapomną o swych sympatyach dla chłopów, gdy będzie trzeba ponieść ofiary na rzecz rolników lub chronić włościan od nakładania na nich nowych ciężarów dla podniesienia budżetu wydatków na inne cele. Znajdą może, że dość już zrobili „dla ludu“, obdarzając chłopa mandatem z kuryi miejskiej.

A teraz na zakończenie jeszcze słów parę o samymże Bojce w jego nowej roli. Bojko dałby niezawodnie dowód wielkiego rozsądku, gdyby mu po sukcesie lwowskim w głowie się nie przewróciło. Pewności nie mamy, iż zachowa się rozsądnie — życzymy mu jednak tego z całego serca. I dotąd już zbyt niestety zatracał charakter włościanina, zapominał nieco o roli i potrzebach stanu włościańskiego, a zanadto dawał się „produkować“, za wiele puszczał w świat bądź co bądź słabych i niedowarzonych artykulików. Powinien pamiętać o tem, że nie dość jest nosić sukmanę i mieć zagrodę w Gręboszowie, ażeby być chłopem prawdziwym. Do tego, by prawdziwie reprezentować włościan, trzeba czuć i myśleć tak, jak pracujący na roli chłopi, rozumieć ich potrzeby i bronić ich, choćby z narażeniem czasem swojej popularności.

Obecnie będzie Bojko otoczony rojem impresaryów, którzy mogą go łatwo doprowadzić do tego, iż stanie się — nie tyle może szkodliwym, jak śmiesznym. Jeżeli będzie słowem i pismem ogłaszać „proklamacye do narodu“, ułożone przez jakiegoś obskurnego pismaka w redakcyi brukowego dzienniczka, jeżeli da się oprowadzać i produkować po zjazdach, zebraniach, kongresach i t. d., jak jakaś osobliwość zoologiczna, jeżeli przy lada jakiej demonstracyi da sobie „wieńczyć skroń“ przez „naród“, składający się z półgłówków, niedorostków i kobiet histerycznych, to stać się może wprost komiczną osobistością.

Znany jest u nas typ chłopa na popis. Używamy nań wyrazu niemieckiego „Paradebauer“, choć to typ właśnie u nas rozpowszechniony. Taki Paradebauer bywa często jako rolnik do niczego, nie cieszy się ani szacunkiem, ani zaufaniem włościan, wysuwa się go wszakże naprzód, bo umie gładko wypowiedzieć jakichś parę frazesów patryotycznych. Takich „konserwatywnych“ Paradebauerów spotyka się po wsiach często. Przebaczają im czasem nie jeden grzeszek, bo umieją przy danej sposobności wypowiedzieć toast na „zbratanie się dworu z chatą“ lub „Polaków z Rusinami“. Czy z Bojki nie będzie taki Paradebauer na demokratyczno-liberalnym sosie?

Życzymy mu, aby się tak nie stało, żeby zachował swój charakter posła włościańskiego, styczność z ludem wiejskim i jego rozsądny sposób myślenia, a jeżeli w tym razie niektórzy ekscentryczni wielbiciele miejscy na nim się zawiodą i nie zechcą go po obecnej kadencyi wybrać we Lwowie, to za to może napowrót zyska mandat od chłopów w Dąbrowej lub w Mielcu, mandat wygodniejszy i z którym mu bardziej będzie do twarzy.

Togi adwokackie.

Gdy przed czterema laty weszła w życie nowa procedura sądowa, zaprowadzono jak wiadomo dla sędziów i prokuratorów także nowy ubiór urzędowy, którego używać mają przy rozprawach, a mianowicie togi. dla sędziów z fioletowemi, a dla prokuratorów ze szkarłatnemi wypustkami. Już wtedy odezwały się wśród adwokatów liczne głosy, że także adwokaci powinni otrzymać odpowiedni strój urzędowy, podobny do sędziowskiego i prokuratorskiego. Od tego czasu podzielili się adwokaci na dwa obozy, które ścierały się ze sobą co do tego, czy także obrońcy mają otrzymać prawo przywdziewania togi przy rozprawach sądowych, czy też nie. Jedni dowodzili konieczności takiej innowacyi choćby już dla tego tylko, ażeby przez to w sposób zewnętrzny, wpadający każdemu w oczy, pokazać, że obrońca jest przy wymiarze sprawiedliwości czynnikiem równorzędnym z sędzią i prokuratorem, czemu zresztą daje wyraz sam kodeks, postanawiając, że żadna ważniejsza rozprawa nie może się obejść bez obrońcy.

Przez takie zrównanie adwokatów pod względem zewnętrznym z innymi funkcyonaryuszami sędziowskimi podniesie się znaczenie stanu adwokackiego w oczach publiczności, podczas gdy w przeciwnym razie wytworzyć się może mylne mniemanie, że prokurator ma większe znaczenie niż obrońca, a oddziaływanie takiego mniemania na umysły sędziów przysięgłych mogłoby mieć nieraz bardzo niepożądane następstwa. Tak utrzymywali zwolennicy tog adwokackich, powołując się przytem na to, że we wszystkich państwach ościennych strój urzędowy jest obowiązkowym tak samo dla adwokatów jak dla sędziów i prokuratorów.

Drugi, niemniej silny, obóz adwokatów składał się z przeciwników togi. Argumentowali oni, że właśnie na tem polega wyższość stanowiska adwokata, iż nie potrzebuje on żadnego uniformu i uosabia przez to czynnik obywatelski. W tem właśnie, że adwokat niczem się nie różni od publiczności, jest widomy znak, że adwokat nie jest żadnym płatnym urzędnikiem, lecz mężem zaufania ludu. Gdyby zresztą — konkludowali przeciwnicy tog — zaprowadzono uniformy dla adwokatów, trzebaby wymyśleć także jakiś strój dla sędziów przysięgłych.

Prasa liberalna w sprawie tej stanęła przeważnie po stronie przeciwników togi, a to głównie dlatego, że — zdaniem jej — strój ten zanadto przypomina sutannę i jest zabytkiem owych czasów, w których urząd sędziowski pełnili kapłani. W przywróceniu więc togi upatruje prasa liberalna poniekąd zwycięstwo znienawidzonego przez nią „klerykalizmu“ i dlatego zwalczała ten projekt.

Z polemiki tej, jaką prowadzili między sobą adwokaci co do tego, czy domagać się togi, czy nie, wyłonił się ostatecznie kompromis, a mianowicie, że adwokaci powinni nosić togi, wprawdzie nie przy wszystkich rozprawach sądowych, ale przy tych, przy których występuje prokurator, a więc przy rozprawach przed trybunałami karnymi, a przedewszyskiem przed sędziami przysięgłymi.

W tym duchu wniosła też dolno-austryacka Izba adwokatów petycyę do ministerstwa sprawiedliwości, a minister zgodził się podobno na to żądanie Izby wiedeńskiej. Zdaje się jednak, że do tego potrzeba będzie uchwalenia osobnej ustawy przez Radę państwa, gdyż załatwienie sprawy przez rozporządzenie ministeryalne mogłoby dać powód do konfliktów między adwokatami a sądami. Nakazać adwokatom nosić togi — nie może minister, gdyż oni nie podlegają jego zwierzchnictwu, mógłby więc tylko nakazać sądom, aby do pewnych rozpraw dopuszczały jedynie adwokatów, ubranych w togi, a to znów mogłoby dać nieraz powód do zatargów. A zatem sprawa ta zostanie załatwiona albo przez osobną ustawę, albo też ministerstwo sprawiedliwości zaprowadzi fakultatywne noszenie tog przez adwokatów, t. zn. wyda rozporządzenie, że który adwokat chce, może bronić swego klienta w todze, a wolno mu także urzędować przy rozprawie w tużurku.

Mały fejleton.

Aissania.

Coraz częściej wspominają dzienniki zachodnio-europejskie o fanatycznej sekcie biczowników muzułmańskich, o sekcie „aissania“, która ogromnie rozwija pośród ludów mahometańskich szaloną nienawiść do chrześcijan w ogóle, a w szczególności do Europejczyków, i jest wędrowną falangą propagatorów panislamizmu. Publicysta warszawski p. Bouffałł widział tych sekciarzy podczas podróży swej po Afryce północnej, skąd właśnie wróciwszy, opisał owe zapadłe a piękne krainy. Aissanii poświęca on następujące wiersze:

Uczciwość Araba jest przysłowiową; przeciętny Arab obchodzi się doskonale bez pieniędzy, bo handel jest przeważnie zamienny. Złota nie zna zupełnie, zegarek bawi go tylko swym tik-takiem, do użytku mu jest niepotrzebny, skoro zasada „czas to pieniądz“ nie istnieje dla niego wcale. W podróży mojej, gdy zdarzało mi się nocować w chatach Kabylów górskich, wyjmowałem pieniądze z worka i kładłem je wraz ze złotym zegarkiem obok siebie, i nigdy nie zginęło mi ani grosza, chociaż spałem zawsze przy otwartych drzwiach lub nawet pod gołem niebem.

Ryzyko niebezpieczeństwa zmniejsza zresztą okazywanie zewnętrznego poszanowania zwyczajom miejscowym i religii mahometańskiej. Zewnętrzne bowiem oznaki szacunku, jakie winniśmy okazywać cudzej wierze i jej przedstawicielom w obcym kraju, nie sprzeciwiają się bynajmniej naszym uczuciom religijnym, a czyniąc tak, jakbyśmy pragnęli, aby i względem nas postępowano, ujmujemy sobie tych, którzy nienawidzą nas podwójnie, raz jako cudzoziemców, drugi raz jako chrześcijan.

Dlatego też, gdy muezzin z wysokości minaretu nawoływał wiernych do modlitwy, a Maurowie, rzucając swoje zajęcia, padali na kolana, zwróceni twarzą do Mekki, pozdrawiałem ich przyjętym zwyczajem słowem *lahejnik* a spotykając się z marabutem, zatopionym w pobożne rozmyślania i otoczonym licznym orszakiem uczniów, żądnych wiedzy, zjeżdżałem mu z drogi i przykładając rękę do czoła, witałem przejeżdżających przeciągłem *salemalikum*. Niestety, większość Europejczyków na Wschodzie postępuje wręcz przeciwnie, okazując na każdym kroku umyślnie swą pogardę dla miejscowej religii i zwyczajów.

To wszystko jednak należy przyjąć z tem zastrzeżeniem, o ile podróżnik nie spotka się z objawami religijnego fanatyzmu muzułmańskiego, od którego go nie obroni ani dodany mu przez baszę żołnierz, ani najlepsza broń palna, ani opieka konsulów europejskich. Dlatego też powszechnie odradzają robić wycieczki podczas Ramazanu, t. j. postu, kiedy mahometanie nie biorą nic w usta od wschodu do zachodu słońca, a w nocy wyprawiają orgie, doprowadzające ich do stanu niezwykłego rozdrażnienia. To samo dzieje się, gdy w mieście odbywa się dziwaczna procesya sekty „aissania“, podczas której Europejczykom nie wolno pokazywać się na ulicach.

Procesyę taką zdarzyło mi się widzieć w Mogadorze z płaskiego dachu domu brazylijskiego wice-konsula senora Lois Ratto; co więcej, udało mi się niepostrzeżenie wymknąć się za nią na plac i zdjąć kilka fotografij momentalnych z tego jedynego w swoim rodzaju widowiska. Ale nie radziłbym nikomu powtarzać tej próby ze względu na możliwe następstwa, Maurowie bowiem wogóle nie lubią, aby ich fotografowano, a podczas t. zw. taify, czyli procesyi, są na tym punkcie daleko więcej drażliwsi, niż zwykle.

Już wczesnym rankiem gruchnęła po mieście wiadomość, że po południu nadciągnie procesya biczowników arabskich, należących do rozpowszechnionej w kraju sekty *aissania*, w pochodzie z południowych prowincyj Sus i Draa do świętego miasta Meknas. Spokojne dotychczas miasto nabrało wnet niezwykłego ożywienia. Poznać je było można z gorączkowego blasku w źrenicach Arabów, wałęsających się po ulicach i pustym dziś rynku, z chrapliwszej niż zwykle gwary głosów na wielkiem Soko (targowicy), z namiętnej gestykulacyi rąk, z nienawistnych spojrzeń, rzucanych z podełba na nielicznych zamieszkałych w tem mieście Europejczyków. *Taifa-el-aissania*, pochód biczowników, jest poniekąd dniem wielkiego święta u Maurów. Dziwaczna ta sekta, której początki i powstanie niezupełnie jeszcze zostały wyświetlone, zdaje się być uosobieniem ducha askezy arabskiej, a treścią nauki jej wyznawców jest przekonanie, że człowiek tylko przez cierpienie z bóstwem zlać się może.

Ale to cierpienie, polegające na dobrowolnem zadawaniu sobie katuszy, ten szał męczeństwa, głód bólu i pragnienie kary nie płynie z dążenia do wiekuistego spokoju, równowagi duchowej, nirwany Buddy, znieczulenia fakirów, lecz wybucha nagle pod wpływem chwilowej ekscytacyi, namiętnego palenia haszyszu, upojenia się widokiem sfanatyzowanego tłumu, zapachem krwi świeżej, odurzającym łoskotem bębna i przeraźliwą muzyką piszczałek. Męczennik chrześcijański konał za Prawdę, zobojętniały na ból i cierpienie, z wzrokiem, utkwionym w Niebo, uśmiechając się do aniołów, którzy mu podawali palmę męczeńską. Fanatyk arabski kaleczy się sam nożem w oczach wyjącego tłumu i krwią zlany pada na ziemię, aby się podnieść za chwilę i w dzikich skokach kręcić się w kółko aż do zupełnej utraty przytomności, a w takt jego konwulsyj ryczy uliczna tłuszcza, wczoraj spokojna i obojętna, dzisiaj pijana wściekłością szalonego lwa. *Taifa el-aissania* — to przebudzenie się nagłe i krótkotrwałe z długiego snu apatyi, zobojętnienia i bezczynności, to ogień słomiany, co raptem wystrzeli do góry snopem tysiącznych iskier i gaśnie natychmiast, zanim zbiegną się ludzie na ratunek.

Około trzeciej dano znać, że procesya zbliża się do bram miejskich, a że dom konsula brazylijskiego znajduje się tuż obok głównych wrót, więc wyszliśmy wszyscy na płaski dach, z którego rozciągał się widok na całe wielkie Soko. Zdala toczyła się na nie zwarta ława głów ludzkich w denerwującem tempie hałaśliwej muzyki janczarskiej i migotały różnokolorowe proporce i duże zielone sztandary, zatknięte na wysokich drągach, a na spotkanie procesyi biegły z miasta tłumy przez wąskie wrota i rozlewały się szeroką strugą na pochyłości warowni. I coraz zwartszy tworzył się krąg przed bramą miejską i zwężał się stopniowo, bo weszło już w niego czoło procesyi: na wpół nagie dzieci o skórze od słońca spalonej, dobosze w białych koszulach, surmacze murzyńscy i przystrojeni w kosmate dżillaby muzykanci, dmący zapamiętale w długie piszczałki i flety. A nad ich głowami wzniosły się proporce i sztandary, niby roztoczone skrzydła olbrzymich ptaków fantastycznych.

Rozpoczął się taniec dziki, konwulsyjny, z pianą na ustach, podobny do przedśmiertnych drgawek w chwili konania, bezmyślny, szatański, a potępieńczy. Co chwila wypadał z tłumu do środka koła Arab lub Murzyn o muskułach jakby z bronzu ulanych, w lekkiej przepasce na biodrach, a kręcąc się w szalonym ruchu, padał na ziemię, zrywał się, gryzł kamienie i piasek, tłukł głową o ziemię, wreszcie porywał kindżał z za pasa, i słychać było tylko wśród wrzasku tłuszczy łoskot tępych uderzeń po golonej czaszce, a na ramiona spływały mu obfite strugi krwi czerwonej. A gdy wreszcie padał na ziemię zemdlony, podnosiły go stare, do mumij zasuszonych podobne kobiety i wlewały mu do ust wodę. Tymczasem jedni, patrząc się na to, wpadali w szał i biegli do środka, a porywając barany i koźlęta z karawany, co szła za procesyą, rozrywali je rękami i wpychali sobie do ust olbrzymie kawały dymiącego mięsa ofiarnego, drudzy połykali żywcem żmije lub gryźli skorpiony, inni wreszcie kłuli się sztyletami w piersi i wyli z bolu, wściekłości i rozkoszy. Lecz zakołysały się znowu proporce dając hasło wejścia do miasta, i ruszyły tłumy przez wązkie wrota, a na czele ich szedł olbrzymi Sudańczyk, zupełnie nagi, prowadzony pod ręce przez dwóch innych i mdlejąc od utraty krwi, ostatnim wysiłkiem uderzał się po głowie ostrzem sposoczonego kindżału. Aż przeszły wreszcie te wyjące tłumy potępieńców, przeszły, jak zły sen męczący i skryły się w sąsiednich ulicach, a ja wybiegłem za nimi, bom chciał je zobaczyć raz jeszcze, bo ten widok męczeństwa, krwi i szału ciągnął mnie bezwiednie do siebie, jak na wysokości ciągnie nas w przepaść zawrót głowy.

Śmierć Mac Kinleya.

Buffalo 16 września. W sobotę złożył wiceprezydent Roosevelt przysięgę na konstytucyę w obecności ministrów i innych dygnitarzy. Sekretarz departamentu wojennego Root ze łzami w oczach oznajmił Rooseveltowi urzędowo o zgonie prezydenta i oświadczył, że gabinet uchwalił prosić go o złożenie przysięgi. Roosevelt odpowiedział, że zastosuje się do tego życzenia, przyczem wyraził przekonanie, że polityka, jaką prowadził Mac-Kinley, mająca na oku pokój, rozwój i honor ojczyzny, powinna pozostać bez zmiany. Następnie Roosevelt złożył przysięgę.

Ministrowie zamierzali natychmiast podać się do dymisyi, aby dać sposobność wiceprezydentowi do utworzenia gabinetu według swojej myśli, Roosevelt jednak uprosił ich, ażeby przynajmniej jeszcze czas jakiś zatrzymali swe teki. Terminu zwołania kongresu nie oznaczono; powszechnie sądzą, że zbierze się on dopiero w grudniu.

O ostatnich chwilach prezydenta Mac-Kinleya donoszą: Prezydent stracił przytomność w piątek o godzinie ½8 wieczór i już jej nie odzyskał aż do śmierci, która nastąpiła o godz. 2 m. 15 nad ranem. Duchownego nie było przy nim w chwili zgonu. Ostatnie słowa prezydenta przed utratą przytomności były: „Bądźcie wszyscy zdrowi. Jest to zrządzenie Boskie. Niech się dzieje wola Boża!“ Żona prezydenta była przy nim po raz ostatni przed zgonem między godziną 11 a 12 w nocy. Siedziała przy łożu konającego, trzymając jego rękę.

Ponieważ niepodobna było w inny sposób stwierdzić bezpośredniej przyczyny śmierci, przeto dokonano wczoraj sekcyi zwłok. Sprawozdanie o sekcyi opiewa: „Kula, która ugodziła prezydenta w pierś, nie przebiła nawet skóry i uczyniła nieznaczne tylko obrażenie. Druga kula przedziurawiła obie ściany żołądka; oba te otwory zaszyto przy operacyi jedwabiem, jednakże dookoła obu otworów wytworzyło się zapalenie tkanek. Kula dotarła do tylnej ściany jamy brzusznej, przyczem naruszyła górną część nerek. I tu powstało zapalenie. Śmierć była następstwem zapalenia. Żadne środki chirurgiczne ani medyczne nie zdołały zapobiedz śmierci, która była bezpośredniem następstwem ran, zadanych wystrzałem“.

Zwłoki Mac-Kinleya będą przewiezione do Waszyngtonu i tam pochowane na koszt państwa.

Waszyngton 16 września. Od Ojca św. i od panujących wszystkich państw nadeszły telegramy kondolencyjne.

Buffalo 16 września. Wczoraj przed południem po nabożeństwie nad zwłokami Mac-Kinleya przeniesiono je do hali muzycznej miejskiej i złożono na katafalku. Odtąd publiczność może nawiedzać zmarłego.

Z Chicago donoszą, że policya nie znalazła żadnych śladów istnienia spisku, którego członkiem byłby Czolgosz. Zaniechano przeto śledztw. Ale ojciec Czolgosza, mieszkający w Clevelandzie, przybył tu także, aby nakłonić syna do szczerych i zupełnych zeznań.

KRONIKA.

Lwów 16 września.

Prezesem Rady nadzorczej gal. Banku hipotecznego w miejsce śp. Wilhelma Siemieńskiego-Lewickiego wybrano na dzisiejszem posiedzeniu Rady nadzorczej Adama hr. Gołuchowskiego. Wybór ten witamy z szczerem zadowoleniem, albowiem pewni jesteśmy, że wyjdzie on na pożytek instytucyi, mającej w naszym kraju tak ważne finansowe znaczenie. Hr. Gołuchowski jest człowiekiem młodym, w pełni sił, w dotychczasowym zakresie swego działania okazał znakomite zdolności administracyjne, ma przytem rozległe stosunki i cieszy się powszechną sympatyą. Trafniejszego wyboru nie mogła zaiste zrobić Rada nadzorcza Banku hipotecznego. Wybór członka Rady nadzorczej w miejsce hr. Gołuchowskiego odbędzie się później.

Namiestnik wyjechał wczoraj w nocy do Tarnopola na dzisiejszą uroczystość poświęcenia nowego gmachu szkoły realnej i na zgromadzenie wyborców z wielkiej własności obwodu tarnopolskiego.

Wiadomości urzędowe. Pensyonowany majster kowalski z salinarnego zarządu w Bolechowie Jan Hepp, otrzymał srebrny krzyż zasługi z koroną.

Dr. Józef Wiczkowski wyjechał ze Lwowa na dwa tygodnie.

Wycieczka do Podhorzec, zapowiedziana na wczoraj, nie przyszła do skutku, gdyż o godzinie 6 rano, w porze, kiedy miano wyjechać, padał deszcz, a komitet (gal. Stow. kolejarzy) nie chciał wycieczkowców narażać na ewentualne przemoknięcie podczas jazdy powozami z Zabłociec do Podhorzec, która musiała potrwać godzinę. Wycieczka ta więc, jeżeli pogoda dopisze, odbędzie się dnia 22-go b. m.

Bursa im. Szeptyckich. Ks. metropolita Szeptycki kupił grunta zwane „Alsnerówką“ na drodze Wuleckiej o obszarze 4 morgów i 307 sążni za 34.000 K. — i zamierza tam wybudować wielki dom na bursę dla ruskich studentów gimnazyalnych. Bursę tę ks. metropolita wybuduje i wyposaży własnym kosztem. Najprzewielebniejszy arcypasterz utrzymuje już swym kosztem w gmachu świętojurskim dziesięciu uczni, atoli pragnieniem jego jest dać możność trzystu ubogim a utalentowanym i żądnym nauki chłopcom, odpowiednie środki i opiekę. To właśnie stanie się w bursie na Alsnerówce. Budowa gmachu i budynków gospodarczych rozpocznie się z wiosną przyszłego roku.

Wileńskie Siostry Wizytki. Podczas powstania w roku 1863 wydalił Murawiew z Wilna sześćdziesiąt zakonnic Zgromadzenia SS. Wizytek. Osiadły one następnie w Wersalu pod Paryżem, skąd jednak przed miesiącem musiały ustąpić z powodu nowej francuskiej ustawy kongregacyjnej. Z sześćdziesięciu żyje ich obecnie jeszcze trzydzieści. Przybyły one w sobotę do Krakowa i zamieszkały tymczasowo w tamecznym klasztorze Sióstr Wizytek, poczem udadzą się do Cieklina pod Jasłem do zgromadzenia SS. Norbertanek, gdzie pozostaną aż do czasu wybudowania nowej siedziby w Jaśle.

Prokurator skarbu dr. Wiktor Korn powrócił z urlopu i objął urzędowanie.

Panna Helena Schuppówna, sympatyczna śpiewaczka operetkowa, pożegnała się wczoraj na przedstawieniu operetki „Trzy życzenia“ z publicznością lwowską, która za jej dwuletnią sumienną pracę szczerze ją ceniła i lubiła. Wczoraj w antraktach wręczono pannie Schuppównej kilka wieńców i koszów kwiatowych, jakoteż mnóstwo bukietów. Były to dary dyrekcyi teatru, koleżanek i kolegów, jakoteż publiczności. Artystka gorąco dziękowała za te objawy uznania i sympatyi. Panna Schuppówna zaangażowana jest na nader korzystnych warunkach do wiedeńskiego Carlteatru i tam w tych dniach obejmie swe obowiązki artystyczne.

Poseł Bojko we Lwowie. Staraniem b. komitetu wyborczego techniczno-przemysłowego odbędzie się za dwa tygodnie, dnia 29 bm. zgromadzenie, na którem stanie przed wyborcami wybrany posłem ze Lwowa włościanin Jakób Bojko. Komitet ów nie podaje jeszcze, gdzie się to zgromadzenie odbędzie.

„Polski Beranger“. Pod takim tytułem zamieścił Chochlik (p. Włodzimierz Zagórski) w jednem piśmie warszawskiem i jednem galicyjskiem, nader surową krytykę literackiej działalności ś. p. Rodocia (Mikołaja Biernackiego). Otóż z powodu tej krytyki nadesłało nam grono osób życzliwych Rodociowi następujące, wspólnie napisane uwagi:

„Chochlik odmówił Rodociowi zupełnie talentu poetyckiego, zarzucił mu „nierytmiczność“, brak „tonu“, oraz twierdził, że Rodoć przedstawił Galicyę jako kraj zamieszkany „przez społeczeństwo nawskróś zgangrenowane, złożone z samych tylko oszustów, złodziei, służalców i bydląt“.

„Żałować trzeba, że dwa pisma umieściły tę osobistą zemstę Chochlika na zmarłego satyryka, którego prace po tragicznym jego zgonie tak u nas, jak i w Królestwie polskiem prasa, bez względu na odcienia polityczne, dodatnio oceniła.

„Być może, że Rodocia — jak to Chochlik twierdzi — nazwano po raz pierwszy „polskim Berangerem“ żartobliwie, na śniadaniu u Mańkowskiego, na którem byli wymienieni przez Chochlika: Lam, Semetkowski, Rafałowski i Pfeiffer. Poważna jednak krytyka polska, od Chmielowskiego do Stanisława Tarnowskiego, tytuł ten Rodociowi na zawsze przyznała“.

Jubileusz kolei. Z Nowego Sącza nam telegrafują: Wczoraj obchodzono tu uroczyście 25-lecie istnienia kolei tarnowsko-leluchowskiej. O godz. 11 przedpołudniem przyjechał minister kolei dr. Wittek w towarzystwie szefa sekcyi Haberera i sekretarza swego dra Henocha. Z Krakowa towarzyszyli ministrowi dyrektor Horoszkiewicz, zastępca dyrektora Szukiewicz i przeszło 50 urzędników krakowskiej dyrekcyi kolejowej. Dworzec tutejszy był pięknie udekorowany zielenią i chorągwiami. Przybyło mnóstwo publiczności; pogoda była prześliczna. Ministra powitali naczelnik stacyi Klein, starosta Jarosz i burmistrz dr. Barbacki; kapela kolejowa odegrała hymn austryacki. Następnie odbyła się w kaplicy kolejowej uroczysta msza śpiewana, podczas której na chórze grała kapela kolejowa. Po mszy św. zwiedził minister Wittek tutejszą kolonię kolejową, oraz warsztaty i urządzenia stacyjne.

O godz. 1-szej popołudniu odbyło się w restauracyi kolejowej śniadanie. Dyrektor Horoszkiewicz wzniósł toast na cześć Cesarza, minister Wittek pił zdrowie wszystkich tych, którzy brali udział w budowie kolei tarnowsko-leluchowskiej, oraz tych, którzy obecnie ruch na niej prowadzą. Nadinspektor Abderman wzniósł zdrowie ministra Wit-

teka. Szef biura prawniczego dr. Wróbel toastował na cześć radzców dworu Poschachera, Pichlera, Haberera i innych urzędników, którzy zasłużyli się około kolei tarnowsko-leluchowskiej. Szef sekcyi dr. Haberer podziękował i wzniósł toast na solidarność koleżeńską wszystkich kolegów. Szereg toastów zakończył radca Szukiewicz toastem „kochajmy się!", tłómacząc historyczne jego znaczenie.

O godz. 3-ciej popołudniu minister Wittek, dyrektor Horowskiewicz, dr. Haberer, dr. Wróbel i sekretarz Henoch wyjechali na wizytacyę linii Sącz-Orlo, a wieczorem udali się koleją transwersalną do Zakopanego.

„Wieczór jesienny", zabawa na cele dobroczynne urządzona wczoraj w pasażu Mikolaszów przez Czytelnię akademicką i Chór akademicki, powiodła się w zupełności. Pasaż wypełnił się wieczorem doborową publicznością. Oprócz pięknych produkcyi orkiestralnych i wokalnych, były i tombola i kosz szczęścia i kwiaty, sprzedawane przez okazały zastęp najsympatyczniejszych artystek naszego teatru. Zabawa skończyła się o 11 wieczorem.

Międzynarodowe wyścigi cyklistów, które się wczoraj odbyły na lwowskim torze, były przeważnie tylko walką między doskonałym cyklistą niemieckim Scheuermannem z Wrocławia, który już raz w tym roku powyższym u nas wszystkie pierwsze nagrody, a Czechem Jehliczką, który parę lat temu przybywszy do Lwowa, razem z Vejtrubą pobił na głowę wszystkich współzawodników niemieckich. Wczoraj jednak Niemiec znowu zwyciężył. Biegów było siedm:

I. Wyścig o przodownictwo na rowerach, 5 okrążeń. Nagrody 30, 20 i 10 K. oraz osobne nagrody za każde przejechanie taśmy. Zwyciężył Scheuermann, o ¾ sekundy po nim przybył do mety Jehliczka, trzecim był Niemiec Ulrich.

II. Handicap cyklistów lwowskich, 5 okrążeń, 3 nagrody w medalach. Zwycięstwo odniósł doskonały młody cyklista lwowski Lewicki, który już podczas poprzednich wyścigów bieżącego roku bardzo dobrze się spisywał. Lewicki dawał wszystkim innym współzawodnikom wyrównanie, a sam jechał od mety. Drugim był Lang, który miał 30 m. wyrównania, trzecim Zbijewski (160 m. wyrównania).

III. Wyścig na tandemach, 1 mila angielska, 3 nagrody wartości 60, 40 i 20 K. Pierwszym był tandem, jeżdżony przez Scheuermanna i Ulricha, drugimi byli Jehliczka i Lewicki, trzecimi Włoch Farina i Lwowianin Oniewicz.

IV. Wyścig główny na rowerach, 3 okrążenia, trzy nagrody wartości 100, 60 i 40 K. Ten wyścig, na który wyznaczono największe nagrody, zakończył się wcale nieprzewidzianie. Oto wszyscy się spodziewali, że główna walka rozegra się znowu między Jehliczką a Scheuermannem, którzy w pierwszych okrążeniach, zwyczajem wszystkich rutynowanych wyścigowców, jechali powoli obok siebie, pozostawiając jeden drugiemu możność chwilowego wyprzedzenia. Z tego kunktatorstwa obu najlepszych jeźdźców skorzystał trzeci jeździec Włoch Farina i już w pierwszem okrążeniu puścił się naprzód, wyprzedził wszystkich i jechał całym pędem, tak, że zanim Jehliczka i Scheuermann opatrzyli się, już było za późno, bo „tor", które uzyskał Farina, było już za wielkie. Tak więc dzięki szczęśliwemu przypadkowi, największą nagrodę otrzymał mniej znany Włoch. Drugim był Scheuermann, trzecim Jehliczka.

V. Handicap na tandemach, 4 okrążenia, trzy nagrody wartości 50, 30 i 15 K. Pierwszymi byli Scheuermann i Ulrich (czas jazdy 2 minuty 9½ sek.), którzy wszystkim dawali wyrównanie, drugimi Jehliczka i Lewicki (2 m. 14 sek.), którzy mieli 60 m. wyrównania, trzecimi Farina i Czajkowski (2 m. 22 sek.), mający 110 m. wyrównania.

VI. Handicap na rowerach dla wszystkich, 8 okrążenia. Do biegu tego stanęli Jehliczka, Scheuermann na punkcie 0, Ulrich miał 40 m. wyrównania, Lewicki 80 m., Farina 90 m., Lang 100 m., Zbijewski 120 m. Pierwszym był Lewicki, drugim Farina, trzecim Lang.

VII. Match między Jehliczką a Scheuermannem, których ustawiono na dwu przeciwnych punktach toru, zakończył się zwycięstwem Scheuermanna, który dogonił Jehliczkę w szóstem okrążeniu.

Kolegium św. Hieronima. W dzisiejszym liście naszego wiedeńskiego korespondenta wspomniano o wyroku sądu włoskiego w znanej sprawie kolegium kapłańskiego św. Hieronima. Wyrok ten w sobotę doręczono rektorowi tego zakładu ks. Pazmanowi. Przyznano w nim, że nastąpiło naruszenie posiadania, oraz że rektor Pazman de facto znajduje się w posiadaniu instytutu. Dalej powiada wyrok, że ponieważ instytut św. Hieronima podlega jurysdykcyi rządu włoskiego, przeto gabinet włoski miał prawo zamianować komisarza rządowego i skarga z tego powodu nie jest uzasadniona. Wreszcie wzywa wyrok rektora Pazmana, aby wniósł dalsze swoje protesty do rozstrzygnięcia do dnia 21 b. m.

Z Towarzystwa muzycznego. Próba chóru mieszanego odbędzie się we wtorek 17 bm. o godz. 7mej w sali Towarzystwa muzycznego (ulica Czarnieckiego l. 8).

Złote wesele obchodzi dziś w Krakowie twórca gimnazyum żeńskiego, zasłużony pedagog p. Bronisław Trzaskowski. Po nabożeństwie w kościele Mariackim odbędzie się uczczenie w kole nauczycielskiem i grono nauczycielskie piękny dar jubileuszowy.

Błędy w kalendarzach. W ostatnim numerze *Przeglądu*, w artykule o błędach w kalendarzach znajduje się omyłka drukarska. Mianowicie wydrukowano „wetchopeszczernyka" zamiast „wetchopeszczernyka". Peszczernyk w języku cerkiewnym oznacza mieszkańca pieczary, a wetchij, tyle co stary, dawny. Dla wiadomości ciekawych dodajemy też, że rzeczy imiona zaczynające się od samogłoski E (jak Ewtymy, Ewstratyj) przyjęte z języka greckiego, wymawiają się w języku cerkiewnym: Jewtymij, Jewstratyj. Tam, gdzie w greczyznie jest th, pisze się w cerkiewnym ft, jak np. Theodor — Fteodor.

Z Zakopanego nam piszą: Wydział Towarzystwa pomocy naukowej dla uczni szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, składa wszystkim łaskawym ofiarodawcom, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do przysporzenia funduszów na dochód wieczornicy urządzonej dnia 11 sierpnia br. staropolskie „Bóg zapłać"! Czysty dochód wynosi 1971 K. 20 h., które umieszczono w tutejszej Kasie zaliczkowej.

Stan urodzajów. Z okolicy Podwołoczysk piszą nam: Wydatek omłotów wynosi w przecięciu po 8—9 q. z morga żyta i pszenicy. Z wyjątkiem owsa wszystkie gatunki zebranego zboża już zwiezione. Zasiewy mocno spóźnione przez ciągłe zimne słoty, dotąd niezakończone. Słoty te bardzo też niekorzystnie wpływają na wykopy ziemniaków, dziś obiecujących plon znacznie mniejszy, niż się można było spodziewać w lecie. Pomimo zimna otawa (potraw) zapowiada się obficie.

Studya klasyczne w szkołach średnich. Informowana przez sfery urzędowe *Wiener Abendpost* pisze: Jak się dowiadujemy, w ostatnich miesiącach obsadzono 315 posad nauczycielskich w państwowych szkołach średnich. Przeszło 20 miejsc nie zdołano obsadzić z powodu braku ukwalifikowanych kandydatów. Brak ten daje się szczególnie uczuć w katedrach języków, historyi naturalnej i geometryi. Jeżeli zarząd naukowy mimo widocznego obecnie braku nauczycieli nie uważa za stosowne zarządzić szczególnych środków zaradczych, czyni to dlatego, że frekwencya na wydziałach filozoficznych we wszystkich uniwersytetach w ciągu ostatnich lat znacznie wzrosła, tak, że w najbliższym czasie będzie znowu dostateczna ilość kandydatów na nauczycieli. Przypływ kandydatów do wydziałów filozoficznych nie zmniejszy się z pewnością mimo wiadomości niektórych pism, że zarząd naukowy zamierza zaprowadzić zmiany w szkołach średnich i w sprawie zniesienia nauki języka greckiego wystosować kwestyonaryusz do dyrektorów dolno-austryackich szkół średnich. Szanse kandydatów na profesorów szkół średnich dla języków klasycznych, jak i nowożytnych są nadal może nawet jeszcze pomyślniejsze, niż dotąd.

Co kosztuje Los von Rom. *Magdeburger Ztg.* oblicza, że z cesarstwa niemieckiego wysłano już dotąd do Austryi 9,000.000 marek na koszta przeciągania katolików niemieckich w Austryi na protestantyzm. Pieniądze te poszły przedewszystkiem na kupno renegatów, na pastorów zajmujących się propagandą, na innych agitatorów i na subwencye dla dzienników gardłujących za „Los von Rom". *Magdeburger Ztg.* stoi w Niemczech na żołdzie Alldeutscherów, jest ich głównym organem, więc obliczenie tego pisma jest niezawodnie wierne. Podaje ono, że 16.000 katolików austryackich przyjęło protestantyzm, a zatem każdy renegat kosztuje Alldeutscherów 600 marek. Naprawdę, to oni nie warci złamanego grosza. Niech na nich gwizdną buszmani, to oni ich wiarę przyjmą. Słusznie powiedział Bourget, że w naszych czasach najlepiej się powodzi hołocie.

Akademia transportowa ck. austryackiego muzeum handlowego w Wiedniu przyjmuje wpisy słuchaczy zwyczajnych w czasie od 20 do 26 bm., a nadzwyczajnych dnia 26. Program wykładów już wyszedł, a interesowani mogą go otrzymać bezpłatnie w dyrekcyi akademii.

Bankructwa. Sądownie zezwolono na otworzenie konkursu do majątków: „Ludowego Towarzystwa gospodarczo-handlowego" w Gorlicach i Amalii Goldberg, właścicielki „browaru białeckiego" w Tarnopolu.

Nagły zgon. Wczoraj w południe umarł nagle wskutek wady sercowej 56-letni Abraham Landau, właściciel restauracyi przy ul. Kazimierzowskiej l. 28.

Mowę Wojtka Roja, górala zakopańskiego, wygłoszoną przy poświęceniu kamienia węgielnego pod pomnik prof. Chałubińskiego, podaje *Przegląd Zakopański*. Jako wygłoszona w podhalskiem narzeczu, jest ona nader ciekawą, a przytem znajduje się w niej polemiczna wycieczka przeciw jakiemuś dygnitarzowi góralskiego pochodzenia, który nie uważał za właściwe przybyć na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, co mu górale bardzo wzięli za złe. Oto jest ta mowa:

„Pedziałbyk wiele, bo i wiem, ale ja ta do gadania nie taki wartki. Telo ino powiem: Zakładamy dzisiok fundamenta pod pomnik nieboscyka pana profesora, ale on założył fundamenta dla Zakopanego nie ze skali, ba tem, jako z ludźmi zył. Nie jacy wirchy i turnie były mu w głowie, kie do was przyseł. Ka był, zawsze o ludziak pamiętał i nie jacy o takik, co nogi lekkie mieli i śnim we wirchy gonili, taki sędy towarzysy najdzie, ale kieś był chory, albo w mitrędze, albo i całkie dziad — toś go mioł. On nie pytoł: cy ta blizko, cy daleko, cy nizko, cy wysoko, cyś gazda, cy napłońse pachołcysko — każdziutkiego zratował, z kazdym uradził, kazdego spomóg. A cy to nie była między nas cholera? Kto nas wte ratowoł? Kie trza było, po północy okne z domu wyseł, coby nik nie wiedzioł, coby sie o niego nie bali, a cłeka do ostatniego nie opuścił. To był człowiek, co mioł serce dla kazdego i jego śladami powinni iść syćka, a najbardziej ci, których nieboscyk pon profesor przysposobił, kształcił, wyopiekunowoł i do nawyzsego miejsca pomiędzy nas doprowadził. Wiem wiele, ale pedzieć nie mogem, a na ostatek nie moja rzec tu gadać, a taki, co jego rzec, co jego obowiązek na tej tu ziemi klęcyć, a mowić, tego tu nimos. I to mnie boli, i tem wej przed temi dziećmi nieboscyka pona profesora sie haňbiem, co sie tak dzieje, bo kie cie tak wyniosło wysoko, to mas być pirsy z kraja, ka sie co dobrego w Zakopanem dzieje, mas być nawdzięcniejsym, cobyś tyk fundamentów nie ozwolił... Ale, choćby ta jako źle było, nie syćka my tacy górale, jest ta i pomiędzy nas, co majom serce wdzięcne i nika nie zabocom, co im nieboscyk pon profesor dał i cego ik ucył — jakie fundamenta stawioł".

Muzyka a oszczędność na gazie. W czasie, kiedy Ryszard Wagner dopiero dobijał się sławy, dyrektorem nadwornego teatru w Sztuttgarcie, który wystawiał jego opery, był niejaki Gunzert, znakomity administrator, ale zupełny ignorant w sprawach sztuki. Otóż ów Gunzert miał wielki żal do Wagnera, że pisze za długie opery, tak, że przy ich wystawianiu wychodzi dwa razy więcej gazu niż podczas innych przedstawień. Kiedy raz Wagner przybył do Sztuttgartu na przedstawienie „Latającego Holendra", zakomunikował mu Gunzert, że wykreślił kilka ustępów z „Lohengrina" i „Tannhäusera", żeby skrócić przedstawienie o kwadrans.

— Możebyś pan mi zechciał w tem dopomódz— mówił dalej Gunzert — i poobcinał opery swoje tak, żeby trwały jeszcze o jeden kwadrans krócej. Gotów jestem panu za to podnieść nieco tantyemę, bo zaoszczędzę na gazie.

Wagner parsknął śmiechem.

— Chcesz pan oszczędzić na gazie, aby mi płacić większe tantyemy? — rzekł. — Myśl dobra, ale ja na to się nie zgodzę, i nie pozwalam wykreślać jednej nuty z moich utworów.

— Dlaczego?

— Bo... bo jestem akcyonaryuszem sztuttgarckiego Towarzystwa gazowego i wszystkich gazowych Towarzystw w Niemczech.

— Doprawdy?

— No, teraz pan zrozumiałeś, dlaczego piszę takie długie opery.

Rzekłszy to, ukłonił się i wyszedł, pozostawiając dyrektora w niepewności: czy to żart, czy prawda.

Zmarli. We Lwowie Juliusz Dunin Kozicki, były długoletni prezes Rady powiatowej podhajeckiej, członek Rady nadzorczej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, lat 72. Zwłoki zostaną złożone we środę o godz. 10 rano w grobie rodzinnym w Jazłowcu. — W Staniątkach Ludwika Wincentyna Sienicka, przeorysza klasztoru Benedyktynek, lat 72.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano +10, w poł. + 18 R. Bar. 765. Podnosi się. Pogodnie.

Między sąsiadkami.

— Wie pani, od śmierci mego męża nie mam ani jednej nocy spokojnej. Gdy wybije godzina dwunasta, jakiś lęk mnie ogarnia, wciąż mi się zdaje, że drzwi się otwierają i wchodzi on.

— Przywidzenie, kochana pani! Nieboszczyk mąż pani przecie zawsze dopiero po drugiej przychodził do domu.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w poniedziałek po raz IIgi „Życie we dwoje" komedya w 3 aktach H. Boccage, tłum. Sachorowski. — We wtorek po raz IIIci „Jabuka" czyli „Święto jabłek" operetka w 3 aktach G. Davis i M. Kalbeck, przekład A. Kitschmana, muzyka Jana Strausa. — We środę po raz IIIci „Życie we dwoje".— We czwartek po raz IVty „Jabuka". — W piątek po raz Iszy „One" (Wienerinnen) komedya w 3 aktach Hermana Bahra. — W sobotę po raz Vty „Jabuka". — W niedzielę „Kościuszko pod Racławicami" obraz historyczny w 5 oddziałach ze śpiewami A. W. Lasoty.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru**. W sobotę wystawiono po raz pierwszy 3-aktową komedyę Boccage'a p. t. „Życie we dwoje". Treścią tej bardzo zgrabnej sztuki są dzieje dwojga młodych małżonków pp. Labrouchere, którzy się ogromnie kochają, a mimo to wciąż między sobą o najmniejszą drobnostkę kłócą. Charakterystyka tego stosunku małżeńskiego, odmalowana przez autora z zamiłowaniem, zajmuje cały akt pierwszy i początek drugiego. W akcie II żona, Łucya, postanawia rozwieść się z mężem i wyszukać dla niego inną żonę, dobrą, łagodną, którąby mu nie zatruwała życia. Pomysł ten wytwarza mnóstwo sytuacyi nader dowcipnych. Łucya wyszukuje różne kandydatki na żony dla swego męża, razem z nim debatuje nad niemi, ale napróżno — wszystkie się nie nadają: w III akcie tedy Łucya godzi się z mężem, przytem łączą się z sobą także i dwie inne zakochane pary i na tem kończy się sztuka. Napisana jest ona nierówno: pierwsza połowa stoi na wyżynie komedyi charakterów, akcya rozwija się powoli, ale wszechstronnie, gdyż autor nie pomija żadnego szczegółu w stosunku obojga małżonków do siebie. W II akcie pomysł, że Łucya szuka żony dla swego męża, jest bardzo dowcipnym, jakkolwiek niezupełnie oryginalnym. Potem jednak sztuka staje się nieco monotonną; na komedyę jest zanadto nieprawdopodobną, na farsę zaś ma za mało żywego tempa, a zakończenie jest mdłe. Mimo to sztuka cała pozostawia w widzu ogółem bardzo przyjemne wrażenie.

Główne role małżonków Labrouchere grali pp. Solscy. Pierwszy to występ tej znakomitej pary artystów po wakacyach; oboje grali koncertowo. Po nich odznaczył się p. Feldman w charakterycznej, bardzo dobrze przez autora nakreślonej postaci ojca Łucyi. Na pochlebną wzmiankę zasługuje także gra pań: Rotterowej, Otrembowej, Arkawinówny, Miłowskiej, Nałęczówny, oraz pp. Stanisławskiego, Kwiatkiewicza i Kosińskiego.

Tłómaczenie sztuki, dokonane przez p. Sachorowskiego, jest jak zwykle doskonałe.

Z izby sądowej.

Lwów 16 września.

(*Rabunek*).

Dziś stanęli przed sądem przysięgłych czterej zarobnicy z Gródka: Paliwoda, Sehr, Derewienko i Denys, oskarżeni o rabunek. Rzecz się miała tak: W Gródku na przedmieściu „Pasieki" mieszka samotnie 84-letni emerytowany woźny, Mähner, o którym opowiadano sobie, że ma grube pieniądze. Rano, 15 marca br. znaleźli go sąsiedzi w łóżku omdlałego, zbitego, ze śladami duszenia sznurem na szyi. W izbie brakowało kufra, w którym emeryt miał zaoszczędzonych przeszło 300 K. Rabusie wleźli widocznie przez okno, gdyż szyby były wygniecione, aby zaś rozbicie szyb nie sprawiało hałasu, powlekli je wprzódy warstwą ciasta. Mähner opowiada, że w nocy zbudził się, aby wypuścić swego kota, w tem w ciemności złapało go dwóch ludzi za gardło, potem przyskoczyli jeszcze dwaj inni, dusili go kolanami i sznurem, wlekli po ziemi i bili. Broniąc się, jednego z nich ukąsił w rękę.

Żandarmerya gródecka kierując się wskazówkami niejakiego Jurkiewicza, aresztowała czterech dzisiejszych oskarżonych i zebrała przeciw nim mnóstwo bardzo silnych poszlak. Wszyscy czterej wypierają się winy i starają się udowodnić swoje *alibi*.

Rozprawa, którą prowadzi p. radzca Simonowicz, potrwa dni kilka.

* * *

Sanok, 15 września.

(*Krwawe zajścia w Manastercu*).

Przeszło tydzień toczyła się przed tutejszym trybunałem przysięgłych rozprawa karna o pamiętne zajścia w Manastercu w pow. liskim, które zdarzyły się dnia 20 maja br. Wieś Manasterzec należy do hr. Ignacego Krasickiego. Pozwalał on był włościanom tej wsi pasać bydło w lesie swym i dawał im drzewo na opał, co włościanie odrabiali pewną liczbę dni w roku, lecz nie byli obowiązani do żadnych względem dziedzica świadczeń pieniężnych. Stosunek ten, zadowalający obie strony, trwał kilkadziesiąt lat. Gdy w r. 1898 z polecenia ojca, zarząd majątku objął 28-letni syn, hrabia August, spostrzegł, że owo prawo wypasu bydła włościańskiego w lesie dworskim nastręcza wiele kłopotu, zwłaszcza, że do odrabiania dworowi tych świadczeń włościanie nie zawsze byli skorzy; przeto postanowił owe stosunki zmienić o tyle, że zrezygnował z roboty włościan, a kazał sobie płacić za prawo wypasu po 2 zł. od sztuki bydła za całe lato. Ta nowość wywołała wśród włościan niezadowolenie, bo — jak to notorycznie jest znanem — włościanin woli płacić pracą swych rąk, aniżeli gotówką, która skąpo płynie do chłopskiej skrzyni. Z tych więc powodów we wsi rozgoryczenie rosło i chłopi leśnym dworskim na wszelkie perswazye i napomnienia odpowiadali, że „ma być tak, jak za starego pana", że będą za wypas odrabiali jak dawniej, ale płacić gotówką nie będą. Oporne to stanowisko włościan zaniepokoiło hr. Krasickiego, zażądał więc asystencyi żandarmeryi. Żandarmi przybyli d. 20 maja br., a wówczas leśni dworscy jęli spędzać bydło z chłopskiego pola tuż pod lasem dworskim, aby je wpędzić do lasu i tam zająć. Wśród chłopów zawrzało. Jedni poczęli przedstawiać żandarmom, że im się dzieje krzywda, inni wygrażać się kijami leśnym, którzy im już od paru dni dokuczali, a baby, które nadbiegły, aby także swoje trzy grosze w to wścibić, nie wytrzymały, aby nie obsypać leśnych i żandarmów grudami gliny. Zwykłą koleją rzeczy przyszło do gorętszego roznamiętnienia, które udzieliło się tak włościanom, jak niemniej leśnym i żandarmom. Gdy chłopi wzbraniali leśnym zajęcia bydła, żandarmi dali ognia z naładowanych ostrymi nabojami karabinów. Od kul żandarmskich padło trupem dwóch chłopów, Paweł Kiłyk i Iwan Hyziak, a od strzału jednego z leśnych Hryć Kiłyk.

Prokuratorya państwa wytoczyła dwudziestu pięciu włościanom z Manasterca proces o gwałt publiczny, a leśnemu, Maciejowi Baranowi o zabójstwo Hrycia Kiłyka. Długa i żmudna rozprawa, w której obrońcy oskarżonych adw. dr. Iskrzycki i adw. dr. Nebenzahl często wpadali w starcia z prokuratorem i przewodniczącym rozprawy, za co nawet otrzymali kary dyscyplinarne, — ukończyła się wczoraj późnym wieczorem. Wykazała ona, że oskarżyciel publiczny w zbyt przesadnych barwach odmalował zarzuconą oskarżonym winę, dalej niewinność Macieja Barana wobec oskarżenia o zabójstwo, a cały szereg świadków obwinił o zabójstwo Hrycia Kiłyka nadleśnego Wiśniewskiego. Werdykt sędziów przysięgłych brzmiał j e d n o m y ś l n i e przecząco co do winy oskarżonych, przeto trybunał wszystkich uwolnił od winy i kary.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 14 września.

(Z). Giełdy w Nowym Yorku i Londynie były dziś zamknięte na znak żałoby po śmierci Mac-Kinleya. Zamknięcie giełdy londyńskiej nastąpiło nawet bez uchwały komitetu giełdowego, lecz z własnego popędu zebranych na giełdzie bankierów i sensalów, którzy w ten sposób chcieli dać dowód sympatyi swym pobratymcom za Oceanem. Zamknięcie giełdy nowojorskiej miało bardzo dobry skutek, już wczoraj bowiem na wiadomość, że stan zdrowia Mac-Kinleya jest krytyczny, widoczne tam były objawy wielkiego zaniepokojenia, które byłoby się dziś przerodziło w panikę, gdyby giełda była otwartą. Tak zaś spekulanci oswoją się już zapewne do poniedziałku z nowym stanem rzeczy. W Berlinie i Paryżu zachowywali się spekulanci z rezerwą i zresztą nawet nie próbowali wywołać jakichkolwiek zamieszek z powodu anarchistycznej zbrodni w Buffalo.

U nas wcale nie zważano na ten wypadek, bo były inne swojskie kłopoty. Papiery żelazne spadały bowiem wczoraj i dziś znów gwałtownie, gdyż wielu spekulantów nie mogło wyrównać różnic kursowych, więc odbywały się egzekucyjne sprzedaże ich papierów. Alpiny, które wczoraj miały kurs 361, dziś w kilku odstępach spadły raptownie na 324, a więc o 37 koron, zaś praskie akcye żelazne spadły z 1420 na 1360. Gdy skończyły się jednak egzekucyjne sprzedaże, ustał także dalszy spadek.

W Niemczech znów dwa bankructwa, z tych jedno bardzo brzydkie. Dyrektor wrocławskiego związku przewoźników, trudniących się spławianiem towarów, niejaki Schostag popełnił defraudacye na przeszło 4 miliony marek i zastrzelił się. Drugie bankructwo zdarzyło się w południowych Niemczech w Heilbronn. Tamtejszy bank przemysłowy zawiesił wypłaty. Zdaje się, że przepadnie cały jego trzymilionowy kapitał akcyjny i wszystkie rezerwy.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 621·25, węgierskie 627·75, Anglobanki 260·00, Uniony 521·00, Bankvereiny 434·00, Länderbanki 397·60, Ludwiki 428·20, Czerniowieckie 518·00, Elbethale 458·00, Renta papierowa 98·45, srebrna 98·30, austryacka złota 118·90, austr. renta wal. kor. 95·50, węgierska złota 118·60, węgierska renta wal. kor. 92·35, dukat 11·32, 20-franków. 19·02—, 20-markówka 23·42, rubie 2·53½.

§ **Belgrad** 16 września. Przy wczorajszem ciągnieniu serbskich losów tytoniowych padła wygrana 75.000 franków na seryę 2,644 nr. 82.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Kolonia 16 września. *Koelnische Zeitung* donosi, że od 14-go b. m. zabroniono raz na zawsze odbywania zgromadzeń anarchistycznych w całych Niemczech.

Konstantynopol 16 września. Aresztowano tu jakąś kobietę, przybyłą z Syry, u której podczas rewizyi celnej znaleziono 7 kilogramów dynamitu. Dynamit ten był schowany w pudełku, jakiego zwykle używa się do opakowania bombonów. Aresztowana tłumaczy się, że pudełko to otrzymała w chwili odjazdu z Syry od jakiegoś nieznajomego mężczyzny z poleceniem, aby je wręczyła temu, który o nie się zapyta w chwili, gdy będzie wysiadała na ląd w Konstantynopolu.

Madryt 16 września. W Almoroz (pow. Toledo) zdarzyły się wczoraj rozruchy, skierowane przeciw żandarmeryi, a to z powodu aresztowania jakiegoś człowieka. Żandarmi musieli schronić się do ratusza. Padło kilka strzałów; głównych podżegaczy uwięziono.

Gdańsk 16 września. Przybył tu ks. chiński Czun w przejeździe na wielkie manewry, na które zaprosił go cesarz Wilhelm.

Nowy Jork 16 września. Strejk robotników fabryk stalowych wczoraj się zakończył. Pełnomocnicy obu stron podpisali umowę, której jednakże nie ogłoszono.

Paryż 16 września. Przybył tu rosyjski minister spraw zagranicznych hr. Lambsdorff. Na dworcu powitał go minister Delcassé.

Rzym 16 września. *Tribuna* donosi, że królowa wdowa Małgorzata wybierze się wkrótce w podróż incognito po Niemczech, Belgii i Austryi.

Kilonia 16 września. Carstwo odjechali dziś rano na okręcie „Standart" do Francyi.

Kraków 16 września. Do południa oddano 2060 głosów; z nich otrzymał 1123 Rotter, a 937 Horowitz.

HOTEL GEORGE.

Przyjechali dnia 16 września Hr. K. Lanckoroński z Rozdołu. Hr W. Baworowski z Kołtowa. K. Kirchmayer z Majdanu górnego. Z. Langrod z Wiesbadenu. J. Pohorecki z Terebiniec. A. Wiktorowa z Załuża. W. Łukasiewicz z Zagórza. K. Remiszewski z Rawy ruskiej. Hr. W. Dzieduszycki z Jezupola. A. Hulimka z Mycowa. H. Łukasiewiczowa z Żerawy. J. Łubkowski z Porzecza. J. Wagner z Rzymu. O. Tebinczanka z Grzymałowa. J. Rylska z Uhrynowa. W. Hausner z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki.

ALBERT SZKOWRON

Przyjechali dnia 16 września. Br. L. Brückmann z Manasterca. Major Witoszyński z Stanisławowa. L. Berski z Tillmanowej. A. Cielecki z Hadyńkowic. Dr. E Biernacki i M. Pressmann z Rosyi. M. Rylska z Uhrynowa. A. Horodyski z Kociubiniec. A. Stankiewicz z Wolicy. Rotm. Grotterjahn z Kamionki. K. Podlewski z Chomiakówki. J. Silassy z Budapesztu. W. Olszewscy z Żółkwi. M. Jaworska z Brodów. Rotm. Schnitzer z Kamionki. M. Zajączkowska z Królestwa. J. Makomaski z Wołynia. K. Wołkowicki z Przeworska.

HOTEL FRANCUSKI

plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 16 września. J. Grzybowski z Krakowa. K. Radziejowski z Stanisławowa. K. Marynowski z Urycza. J. Dawidowicz z Delatyna. M. Bielowski z Kobyla. S. Puchalski z Celowca. H. Stiess, S. Braun, F. Supf, J. Löwy, A. Rökl i J. Ringer z Wiednia. H. Bohm, F. Ullrich i K. Schauerman z Wrocławia. A. Braun z Budapesztu. Z. Styber z Doliny. M. Hofman z Cieszyna.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 16 września (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 426·00 do 483·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 525.00 do 535.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 530.00 do 540·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 360·— do 380.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 850.— do 858.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 97·80 do 98·—. 4 proc. los. w 60 lat 89.70 do 90·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.30 do 100.— Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 93·30 do 94·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 93.50 do 94.20, 4 proc. los w 56 lat 90·70 do 91.40.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 96·00 do 96·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 101·— do 101·70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 92·00 do 92·70. Pożyczki kraj. z r. 1878 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 92.— do 92.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 87·50 do 88·20, 4½% po 200 koron 97·— do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 11·17 do 11·35. Napoleondor 18·90 do 19·15. Rubel rosyjski papierowy 252·50 do 254.—. 100 marek niemieckich 117·— do 117·50.

Wiedeń 16 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 7·98—7·99, na wiosnę 8·45—8·46; żyto na jesień 7·07—7·08, na wiosnę 7·34—7·36; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·40—5·41, na maj-czerwiec 5·41—5·42; owies na jesień 6·83—6·84, na wiosnę 7·19—7·20. Rzepak na sierpień-wrzesień 14·00—14·10, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0·00—0·00. Tendencya: w kursach żyta dobre, zresztą spokojne. Pogoda: pochmurno.

Budapeszt 16 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 7·84—7·85, na kwiecień 8·30—8·31; żyto na październik 6·68—6·69, na kwiecień 6·97—6·98; owies na październik 6·46—6.47, na kwiecień 6·87—6·88; kukurudza na wrzesień 0.00—0·00, na maj (1902) 5·13—5·14. Rzepak na 00·00—00·00. — Oferty na pszenicę: dostateczne. Chęć kupna: lepsza. Usposobienie spokojne. Pogoda: pochmurno.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2·31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*.
Z Rzeszowa: 11·45.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 3·35*, 5·35, 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 3·12*, 5·11, 10·2*.
Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Sokala: 8·15, 6·00.
Z Janowa 7·45, 12·55; do 15 września w niedzielę i święta: 9.00*; do 30 września codziennie: 9·41*.
Z Brzuchowic do 15 września codziennie: 6·46 i 8·50*. w niedzielę i święta: 3·14 i 7·36*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*.
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·43, 9.42, 11·32*.
Do Tarnopola: 7·10* z dw: głównego i 7·32* z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Sokala: 10·20, 7·25*.
Do Janowa: 9·15; do 15 września w niedziele i święta 1·25, a codziennie 3·15; do 15 września w dni powszednie a następnie codziennie 6·30*.
Do Brzuchowic. do 15 września codziennie 5·45* i 3·26, a w niedziele i święta 2·15 i 7·52*.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Obszerny wyciąg z rozkładu jazdy dla głównego dworca i Podzamcza ogłasza się co środy i soboty.

4)

Sprawa Blaireau

przez

ALFONSA ALLAIS

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ VI,

w którym Silvio Pelico nie zostanie „zdystansowanym“ w swoich udręczeniach więziennych).*

Areszt w Montpaillard może być nazwany miłem więzieniem. Jego dyrektor, p. Bluette, człowiek jeszcze młody, „dymisyonowany“ hulaka, dzierży po raz pierwszy taką godność, a zwierzchnicy nie przepowiadają mu awansu, gdyż w pełnieniu swych obowiązków jest zanadto ludzkim i pobłażliwym. Nie chce uważać więźniów za osobistości godne pogardy; dla niego są to nieszczęśliwi, a on na bruku paryskim widział wielu gorszych i niebezpieczniejszych łotrów od tych swoich biednych pensyonarzy.

Jak każdy człowiek dobrze wychowany, pan Bluette był grzecznym dla wszystkich, tak samo dla najgorszego ze swoich więźniów, jak i dla najwyższego ze swoich zwierzchników, a jeżeli była różnica, to na korzyść więźniów.

Miał wobec nich swój system, polegający na tem, że każdego zatrudniał robotą, jego fachowi właściwą. I tak: stolarze musieli robić stołki, szewcy fabrykować obuwie; przez pewien czas nawet przestępca był odźwiernym, otwierał furtę więzienną, ale ze zwykłą niedelikatnością odźwiernych. Pewnego dnia sam ją sobie otworzył i uciekł...

To niedelikatne postąpienie nie zraziło pana Bluette, który w dalszym ciągu stosował swój system, choć nieraz napotykał trudności. I tak naprzykład:

— Cóżeś robił, zanim zostałeś skazany? — zapytuje.

— Byłem aeronautą, panie dyrektorze — brzmi odpowiedź. — Wznosiłem się balonem na jarmarkach.

— Tam do dyabła! Jakżeby spożytkować w więzieniu twoje zdolności?

— Trudno, co prawda, sufity za niskie... a możeby w ogrodzie, w balonie uwięzionym...

— Ha, zobaczymy... zastanowię się nad tem...

Gdy Blaireau przybył do zakładu karnego pana Bluette, odrazu pozyskał sympatyę dyrektora swoją niezwykłą powierzchownością. Był chudy, kościsty, miał ręce długie, jak u małpy, oczy wesołe, usta szerokie i białe zęby, co mu nadawało wyraz dobroduszny.

Po drodze z sądu do więzienia Blaireau uspokoił się zupełnie.

— Ha! trudno — myślał — człowiek posiedzi trzy miesiące na jednem miejscu, nie będzie mu kapało na głowę, nie zakatarzy się, chodząc po błocie na taką psią pogodę. Ale nie daruję temu hultajowi Parju... Mówi, że mnie poznał... Poznamy się lepiej, jak mnie wypuszczą.

. . . .

Pan Bluette postawił nowemu skazańcowi zwykłe pytania:

— Czem się trudnisz?

— Kłusownictwem — odparł Blaireau po chwili milczenia.

— Ha! nie łatwo cię zatrudnić, ale zobaczymy; bądź co bądź, mam nadzieję, że przez trzy miesiące nasze stosunki będą jak najlepsze.

— I ja się tego spodziewam, panie dyrektorze... a przytem obiecuję, że pan odemnie niewdzięczności nie dozna. Czy pan dyrektor lubi zwierzynę?

— Blaireau, nasza rozmowa wchodzi na tony drażliwe. Mówmy o czem innem... a więc zbiłeś gajowego? Wiesz, że to zabawne.

— Bardzo zabawne, panie dyrektorze, ale najzabawniejsze to, że wcale nie ja go zbiłem. Jak mnie pan dyrektor żywym widzi, tak jestem niewinny.

— Mój drogi, jeżeli chcesz być ze mną w dobrych stosunkach, to mnie nie okłamuj.

— Jeżeli tak, panie dyrektorze, to pobiłem tego hultaja Parju, zerwałem mu blachę i tak dalej i tak dalej... Czy pan dyrektor chce, żebym się przyznał do czegoś więcej? Gotów jestem dla utrzymania dobrych stosunków!...

. . . .

Wzruszenie Arabelli było wielkie, gdy dowiedziała się z własnych ust pana Dubenoît o dramacie, który się rozegrał „pod murami“ parku Chaville.

Mer Montpaillard mógł błądzić po tropie fałszywym, ona wiedziała, co sądzić o tym nocnym napadzie; wiedziała, dlaczego rzekomy złoczyńca próbował przeniknąć wśród nocy do „siedziby“ jej brata; wszak w ostanim liście wyczytała: „Mury parku mnie nie powstrzymają“.

Te słowa rzucały światło na cały dramat. Wraz z aresztowaniem nieszczęśliwego Blaireau urwała się korespondencya.

A zatem owym „zrozpaczonym“ był niewątpliwie *on,* ten śmiałek, który nie wahał się narażać dla niej życia (a przynajmniej pleców i ubrania. *Przyp. autora*). Człowiek, „kochający ją w cichości serca i w cieniu“, był słynnym na całą okolicę kłusownikiem. Słyszała o nim nieraz, nie widziała go nigdy. Przykro jej było trochę, że to nie magnat, ani rycerz sławny a możny, ale nie mogła się gniewać na marnego robaka, który ośmielił się podnieść na nią oczy, który narażał się dla niej na galery (wolała myśleć, że narażał się na galery, niż na parę miesięcy więzienia).

— Kochać go nie mogę — powiedziała sobie — ale go nie opuszczę. Powinnam mu osłodzić jego więzienną dolę. Szkoda, że nie jest bodaj szlachcicem!...

Dlatego to Blaireau otrzymał pewnego poranku cały koszyk delikatesów, dziesięć butelek wina i doskonałe cygara.

Odtąd dostawał co parę dni takie smaczne dowody pamięci z dołączeniem niekiedy paru słówek tej treści:

„Wszystko wiadomo. Wdzięczność za dyskrecyę. Odwagi, wytrwania“... itd. itd.

Blaireau zajadał przysmaki, spijał wino, palił cygara, odczytywał bileciki i zachodził w głowę: kto mu to wszystko przysyła?

W wolnych chwilach zajmował się ogródkiem więziennym, czyścił broń pana Bluette, karmił jego psy myśliwskie, wyrabiał wędki, wnyki, słowem trudnił się robotami, wchodzącemi w zakres jego fachu.

Czasami pan Bluette prosił go o złapanie mu szczupaka w rzece, płynącej za ogrodem więziennym.

Skłamałbym, dowodząc, że „poczciwemu“ Blaireau nie przyszła nigdy ochota „wziąć nogi za pas“, ale jako człowiek honoru umiał nad nią panować.

Na takich to zajęciach i rozrywkach upłynęło mu trzy miesiące „srogiej wieży“.

. . . .

Poranek. Nasz więzień budzi się z lekkiem sercem. Świtający dzień jest ostatnim jego pobytu w więziennych murach. Blaireau cieszy się. Ale „nie mów hop! dopóki nie przeskoczysz“.

Blaireau cieszył się przedwcześnie....

ROZDZIAŁ VII,

w którym ciemny dotychczas dramat zaczyna się rozświetlać.

Powróćmy, szanowne czytelniczki i szanowni czytelnicy, do parku Chaville, gdzie rozegrał się wstęp do tego dramatu.

Piąta po południu. Rtęć wskazuje przyzwoity stopień temperatury.

Podczas, gdy państwo Chaville rozmawiają ze swoimi gośćmi, panna Arabela wita swojego profesora gimnastyki.

— Dzień dobry, panie Fléchard.

— Panno Arabelo, mam zaszczyt złożyć pani ukłon.

— Przepraszam, że się pan fatygował dwukrotnie, ale mamy gości.

— Wiem; sądziłem już, że pani dziś lekcyi zaniecha i byłem w rozpaczy.

— Pan łatwo popada w rozpacz. Jedna lekcya stracona, to fraszka.

— Nie dla mnie, panno Arabelo.

— Wszak pan jesteś płatny miesięcznie, panie Fléchard.

— O pani!

Pan Fléchard chwyta się za serce, blednie, chwieje się na nogach, jak gdyby otrzymał cios śmiertelny.

— Co panu jest? — woła panna Arabela.

— Zraniłaś mnie pani okrutnie.

— Ja?

— Tak, pani, zadałaś mi najboleśniejszą ranę.

— Nie rozumiem.

— Mniejsza o to. Zniosę ten cios z pokorą.

— Panie Fléchard, pan jakiś dziwny. Co to znaczy?

— Nie jestem dziwny, ale może śmieszny w oczach pani. Zresztą, czyż mam prawo cierpieć? Jestem płatny miesięcznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Niech czytelnik nie pomawia mnie o przesadę. Wiele więzień departamentalnych we Francyi ma więcej podobieństwa z tak zwanemi *pensions de famille,* niż z więziennymi lochami.

L. 6174.

Ogłoszenie licytacyi.

Krajowy szpital powszechny we Lwowie rozpisuje licytacyę przez oferty na następujące dostawy w roku 1902.

	Na dostawę	Przy wnoszeniu oferty należy złożyć wadyum w kasie szpitalnej w wysokości:
1	Leków	1000 kor.
2	Artykułów sanitarnych, to jest: waty, gazy jodoformowej, płótna gumowego, poduszek gumowych, organtyn etc. . .	1000 „
3	Mięsa wołowego w przybliżeniu 32,000 kl. . . . „ cielęcego „ 32,000 kl. . . .	1,500 „
4	Słoniny i smalcu w przybliżeniu 6500 (wyrób krajowy) .	500 „
5	Mąki pszennej i żytniej około 87,000 kl. . . .	500 „
6	Krup wszelkich, tudzież grochu i fasoli w przybliżeniu 22,000 kl.	200 „
7	Makaronu włoskiego około 4000 kl. (wyrób krajowy) . .	100 „
8	Towarów kolonialnych	400 „
9	Cukru w przybliżeniu 4300 kl.	400 „
10	Śliwek suszonych 3500 kl, powideł 2000 kl. . .	400 „
11	Mydła do prania w przybliżeniu 3000 kl. . . . sody szczakowickiej 6000 „ . . . mydełek kokosowych lub żółtkowych do mycia rąk 300 kl.	200 „
12	Jaj świeżych w przybliżeniu 1500 kóp. . . .	200 „
13	Nafty niezapalnej 9000 kl. i przybory do oświetlenia naftowego, to jest: szkła, knoty, umbry itp. . . .	200 „
14	Szkła do szklenia okien zwykłe i 2 m/m. . . .	100 „
15	Kartofli Andersenów suchych, wybieranych do przechowania na zimę 1200 korcy	
16	Oliwy rosyjskiej do smarowania maszyn i przyborów do ruchu maszyn	200 „
17	Drzewa opałowego twardego i miękkiego w przybliżeniu 500 sągów	500 „

Do ofert należy dołączyć próbki z wyjątkiem artykułów, wymienionych pod poz. 1, 3 i 17.

Bliższych wyjaśnień na żądanie udzielać może Zarząd szpitala w godzinach rannych do 1 w południe. Oferty ostemplowane marką na 1 koronę należy wnosić do Zarządu szpitala do dnia 30 września 1901 r.

Do kontraktu wymaganą będzie kaucya w wysokości 10% od całorocznej dostawy.

Przyjęcie oferty zależeć będzie od decyzyi Wydziału krajowego.

Lwów, dnia 10 września 1901 r.

Zarząd krajowego szpitala powszechnego.